

13

Bajki

Franciszka Dzierżykr. Morawskiego.

OKULARY.

Piotr, Jan i Idzi, zawsze sprzeczni w zdaniu,
Chociaż w pożyciu bardzo zgodni byli,
Po dobrém winie i smaczném śniadaniu

Wesoło sobie gwarzyli.

Naprzód o polskich wadach i zaletach,

O cywilnych, o wojskowych,

O autorach starych, nowych,

A najwięcej o kobietach.

Szeroko rzeczy zaczęli rozwodzić —

Cóż, kiedy w niczém nie mogli się zgodzić;

Im dłużej trwała rozprawa,

Tem większa wrzawa.

Przyszło nareście i do polityki;

Jeszcze większy hałas, krzyki,

Różne zdania, różne sądy,

Ten wołał dawne, a ten nowe rządy;

Jedni drugich nie słyszeli,
 A wszyscy krzyczeli.
 W tém dwoje okularów leżących na boku
 Koniec téj wielkiej położyło zwadzie;
 Jan bierze jedne i gdy na nos kładzie
 Własnemu dziwi się oku:
 Wszystko wielkie, okazałe;
 Piotr bierze drugie, wszystko widzi małe;
 Lecz ich największe zdziwienie uderza
 Kiedy ów Idzi, zawolany Idzi,
 Jedne po drugich przymierza
 I nic nie widzi.
 Aż pewien starzec, który w kącie siedział
 Cały czas płochéj obecny rozmowie,
 Tak im powiedział:
 Moi Panowie!
 Wiercie co szczerem sercem powiada wam stary,
 Każdy na świecie ma swe okulary;
 Jaki nim przesąd lub namiętność rządzi,
 Tak przez nie innych, tak i siebie sądzi,
 Wreście przez jakie przeszedł doświadczenia,
 Tak patrzy na świat i tak go ocenia.



ZAJĄC I NIEDŹWIEDŹ.

Nie tylko ludzi łączy zapal święty,
 I między zwierzęty
 Bywa przyjaźń gorąca.
 Dziwnym trafem, niedźwiedź bury
 Nadzwyczaj czuły z natury,
 Tak się przywiązał mocno do zająca,
 Zając do niego nawzajem,
 Że ich przyjaźni nazywano wzorem:
 Był to Pollux z Kastorem.
 Cóż, kiedy Pollux strasznym był mazgajem.
 Ilekroć z swoim zapalem wyjedzie,
 Ilekroć swoje uczucia niedźwiedzie
 W zajęcze serce chciał przelewać tklivie,
 Zawsze go osapał,
 Odrapał,
 Zawsze nasz zajac skrzeczał przeraźliwie.

Lecz nie tu koniec jego smutnej doli,
 Bo gdy raz w cieniu topoli
 O wspólnym rozmawiali losie,
 A o marnościach świata rozmyślając,
 Zdrzymnął się zając,
 I mucha siadła mu na nosie;
 Niedźwiedź każdej pory,
 Do przysługi skory,
 Nagle się porywa;
 Straszliwie zaczął się dąsać:
 Tak mi mojego przyjaciela kąsać!
 Oj czekaj gadzino złośliwa,
 Nie wiesz czem to pachnie.
 Jak się odsadzi, jak machnie,
 Tak ją dobrze zagrabił,
 Że razem muchę i zająca zabił.

Każdy kto w przyjaźń nierozważną wchodzi,
 Nudy i biedę pewno sobie kupi;
 Mądry przeciwnik często mniej zaszkodzi,
 Niżli przyjaciel serdeczny a głupi.



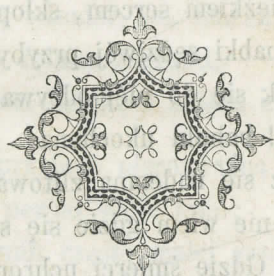
RYBA LATAJĄCA.

Tam kędy w pośród hucznego odgłosu
 Ocean swe balwany o skały roztrąca,
 Pewna rybka latająca
 Niekontenta z swego losu,
 Z ciężkiem sercem, skłopotana,
 Do swojej babki sędziwej przybywa
 I tak się do niej odzywa:
 Ach! babulu ukochana
 Racz się nademną zlitować,
 Już nie wiem gdzie się schować,
 Gdzie śmierci uchronić.
 Zaledwie w górę ulatywać pocznę,
 Zaraz mnie orły żarłoczne
 Zaczynają gonić.
 A kiedy znowu (przestraszona w górze)
 W morzu się zanurzę,

Sroższa delfinów gromada
Zewsząd mnie opada, —
Takie to losy twoją dręczą wnuczkę.

A ona taką dała jój nauczkę:

Moje dziecko,
Kogo na tym świecie
Orłem albo delfinem nie stworzyły nieba,
Takiemu średniej dróżki trzymać się potrzeba
Czyń tak, a w życiu pewnej użyjesz swobody,
Płynąc blisko powietrza, lecąc blisko wody.



LATARNIA I ŚWIECA.

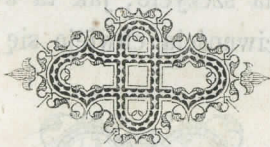


Niechaj się każdy wprzód dobrze ocenia,
Niżeli płochy zamysł go ogarnie.
Zachciało się raz świeczce większego znaczenia;
Zbrzydziła sobie latarnię.
Ja mam, rzecz, z mém światłem tak czystym, tak jasnym,
Zawsze siedzieć w tym lochu i brudnym i ciasnym,
Kto zrodzony do kąta niechaj siedzi w kącie,
Ja chcę sobie na większym jaśnieć horyzoncie;
Fortuna śmiałym sprzyja! mogę zmienić postać;
Mogę gwiazdą, księżycem, mogę słońcem zostać!
Gdy w tém się od latarki otworzyły drzwiczki,
Ledwie pierwszy wiatr dmuchnął, już nie było świczki.
Tak nie jeden, co w domu mógł żyć użytecznie,
Pnie się na wielki urząd, chce znaczyć koniecznie;
Lecz gdy stanie na szczycie, jak ta świeczka właśnie,
Za pierwszą przeciwnością chwieje się i gaśnie.



PAN I KUCHARZ.

Nie sądź, gdy sam nie piesz, mówią autorowie,
 Słuchajmy co w tój mierze nasza bajka powie.
 Pewien Pan raz swojego kucharza strofował
 Że mu obiad zbyt kwaśny i pieprzny zgotował,
 Że wszystko ta nieszczęsna popsula przesada.
 O zgrozo! o zgorszenie! — kucharz odpowiada —
 Jakże można mój Panie tak dalece błdzić,
 Nie umiejąc gotować o potrawach sądzić?
 Pańskie zdanie zupełnie śmieszne i opaczne,
 Musisz jeść co ci dają i wierzyć że smaczne.



PIES I PSZCZOŁY.

Jestto cnota nad cnotami
 Trzymać język za zębami —
 Stare powiada przysłowie.
 Wszyscy jednakże smakujem w obmowie:
 O cudzych grzechach rozmowa tak słodka.
 Raz pewien wyżeł przebiegły i śmiały,
 Wielki bazarz, wielki plotka,
 Przytem lizuś doskonały,
 Proszony czy nie proszony,
 Latał na wszystkie strony,
 Wiedział wszystkie zwady, sprzeczki,
 Wszelkich skrytości dociekał;
 Słowem u wszystkich ogryzał kosteczki,
 A potem wszystkich oszczekał;
 Suczki z suczkami,
 Psiarnie z psiarniami

Zwaśnił, zniechęcił i skłócił;
 Cały porządek przewrócił.
 Wtém raz szczególna ciekawość go wzięła,
 Jakaś pokusa go bodzie
 Zajrzeć do ula który stał w ogrodzie.
 Naprzód ostrożnie bierze się do dzieła,
 Obchodzi, wacha, skrada się, przemyka,
 Ale zaledwie nos wtyka,
 Cała pszczoł gromada
 Z straszliwym brzękiem wypada;
 Wyżel w nogi! — lecz te w złości
 Tak go cięły bez litości
 To po brzuchu,
 To po uchu,
 To po pysku, to po grzbiecie,
 Że już nie wiedział o świecie.
 W tém mu jedna w nozdrze wpadła,
 I tém mu dojadła;
 Szarpie się, rzuca i wyje,
 Nosem ziemię ryje,
 Jęczy — na wszystkie strony
 Wykręca się i wywija,
 Wreście leci jak szalony,
 I łeb o kamień rozbija.

I dobrze mu tak było. Kto nadto ciekawy,
 Kto nos swój niepotrzebnie w cudze wtyka sprawy,
 A wszystkich czerni szkaradnie,
 Prędzej lub później w taką łapkę wpadnie,
 Że będzie wzdardą i pośmiechem świata.
 Taka to Wścibskich zapłata.



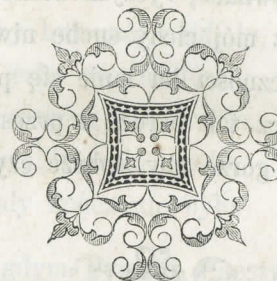
SKOP, WIEPRZ I KOZA.

Skopa przy wieprzu, a wieprza przy kozie,
Grzesio na jednym osadziwszy wozie,
Na jarmark z niemi wyruszył;
Wieprz całą drogę przeraźliwie kwiczał,
Krzyczał, ryczał,
Ledwie Grzesia nie ogłuszył.

Drugie zwierzątka słodsze z przyrodzenia,
Dobre, poczciwe stworzenia,
Widząc że pewne i bezpieczne były,
Z dziwem na wieprza patrzyły.

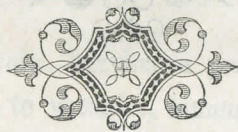
Ciszej! Grześ woła, krzykaczu przeklęty,
Zkąd ci te wrzaski, lamentsy;
Patrz, jak się twoi sprawują sąsiedzi:
Skop ani beknie, koza cicho siedzi;

To mi rozsądkiem się zowie!
Głupstwem! wieprz odpowie.
Siedzą, nie beczą, bo nie myślą o tém,
Co je czeka potém;
A wreszcie słuszenie może mniej się boja,
Ostrzygą skopa i kozę wydoja.
Ten ich los zwykle spotyka.
Lecz ja który z przeznaczenia
Zdam się tylko do zjedzenia,
Wiem że jadę do rzeźnika.
Najszczęśliwszym bywa
Ten co najmniej przewidywa.



DWIE CHMURY.

Pocóż gmachu potężny wzniosłeś się do góry!
 Tak rzekła strasznie grzmiąca do spokojnej chmury:
 Cóż znaczysz? nikt się twojej wielkości nie boi;
 Mnie to raczej nad ziemią panować przystoi,
 Ja to przecie porządnie kiedy ryknę sobie,
 Co to zaraz hałasu i trwogi narobię!
 Druga na to: nie przeczę twojej wielkiej chwale,
 Nigdy ci nie wyrównam, ryczysz doskonale;
 Gdy jednak deszcz mój cichy suche niwy zrosi,
 Ileż głosów wdzięczności ku mnie się podnosi!
 Wierz mi, nie hucz tak bardzo i przestań mnie winić,
 Na to jesteśmy w górze aby dobrze czynić.



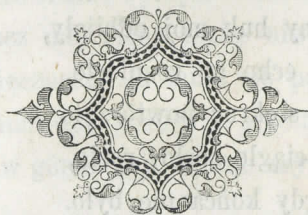
WYSTRZAŁ.

Co za szczególny trafunek:
 Kiedym strzelał w pośród lasu,
 Choć był tak słaby ładunek,
 Tylem narobił hałasu,
 Taki się loskot rozszerzył,
 Jak gdyby piorun uderzył!
 Wszystkie drzewa, wszystkie skały
 Straszny huk mój odbijały,
 Każde echo go rozniosło,
 Każde stokroć powtórzyło,
 I tak ciągle rosło, rosło,
 Że nigdy końca nie było.

Teraz gdy wyszedł z gęstwiny
 I na czystym polu stoję,
 Chociaż powiększam naboje,
 Strzelam, pukam od godziny,

Strzelba moja jak na lichu
Głuchy tylko huk wydaje,
Ledwie go słyhać o staje,
I za minutę już cicho.

Może i z sławą tak bywa!
Wiedzieć gdzie się pokazywać,
Gdzie i kiedy się odzywać,
Tem to niejeden wygrywa,
Tem się nad innych wynosi.
Nieco hałasu i wrzawy,
Kiedy je echo rozgłosi,
Jakże podobne do sławy!



OSIEŁ.

Tak się raz osieł daśał,
Tak się téż z innych natrząsał,
Taki był pyszny, zuchwały,
Że go zwierzęta nie poznały;
Pojąć nie można było,
Co mu się zrobiło.
Nakoniec wszystkim dowodził
Że się szlachcicem urodził;
Dwie godziny o tém gadał:
Powiadał
Co to miał przodków, a zwłaszcza jak sławnych,
Jak niezmiernie dawnych,
Wyliczał lata za laty,
Jak się ciągnęły jego antenaty,
Jak się wznosiły do góry,
Coraz w większą sławę rosły,
Jakie to były głowy i figury,
Co to były za osły!



A lis mu na to: jakżeś nierozsądny,
Zawsze twoich chwalisz przodków,
I ty nie jesteś z wyrodków,
I z ciebie osieł porządny!



BĘBENEK I RÓŻA.

Józio od samego ranku
Latał, bębnił bez ustanku,
Nie mógł się swoją nacieszyć zabawą;
Gdzie się tylko ruszył,
Wszystkich swoim hukiem, wrzawą
Gonił, wypędzał i głuszył;
Tak się radował, zapalał,
Ledwie nie szalał.
Lecz gdy nareście po długiej swawoli
Już się nalatał, nabębnił do woli,
Staął nagle zadumiały;
Dziwna go jakaś ciekawość porywa,
Dla czego ten bębenek mały
Tak się zabawnie odzywa?
Bierze go, patrzy, ogląda chłopczyna,
Zgłębiać zaczyna.....

Nareście z miną zawoła radośną:

„W środku coś siedzi, co huczy tak głośno“

A ledwie temu uwierzył

Tak z całej mocy uderzył,

Że przedziurawił sam środek bębenka.

Na drugiej stronie spokojna Helenka

Wdzięcznie stolistnej dziwiła się róży.

Któż wie, do siebie powiada,

Czy też w istocie ten kwiat pełny, duży,

Z stu się listków składa?

Któż je rachował? może ludzie błędzą

I z pozoru sądzą;

Nie trzeba zaraz uwierzyć tak śmieie,

Sto listków — jest to bardzo wiele!

A więc się swoim liczeniem zajmuje,

Listek po listku wyrywa, rachuje;

By się nie zmylić, układa w porządku

Dziesiątek przy dziesiątku.

Zupełną liczbę znajduje.

Lecz cóż się dalej naszym dzieciom stało?

Jedno i drugie swą stratę poznało;

I do czego ciekawość na tym świecie służy!

Józio płakał bębenka, a Helenka róży.

Chrońcie się ludzie zasłony rozdierać,

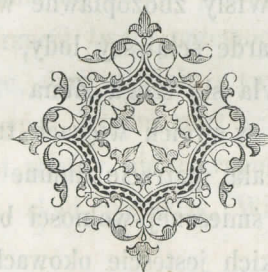
Idźcie za lubem omamieniem śmiało;

Kto chce rokosze zgłębiać i rozbierać,

Już go szczęście pożegnało.

Cały badań zaszych skutek

Gorzka prawda, ciężki smutek.



WISŁA.

Sarmackiej Wisły zbożopławne wody
 W twarde ściawszy lody,
 Cieszyła się sroga Zima
 Że je w swoich więzach trzyma.
 Patrzcie, wołała, patrzcie dumne wały,
 Coście w tej śmiesznej wolności bujały,
 W jakich jesteście okowach!
 Oto was każdy przychodziń
 Depce, rąbie codzien.
 I byle Kałmuk jeździ wam po głowach;
 A wy cóż na to? ani mruknąć śmiecie;
 Takie to was jarzmo gniecie,
 Tak to Zima włada!
 Prawda, że jesteś niezmiernie zażarta,
 Tak jój z pod Tatrów na swój urnie wsparta,
 Stara Wisła odpowiada.

Nie wszędzie przecież cięży twa potęga,
 Zawsze tam, zawsze pod tym twardym lodem
 Śmiały i wolny nurt mój płynie spodem,
 Tam twoja władza nie sięga.
 Niech tylko moje słońce mi zablyśnie,
 Wkrótce ta cała przestrzeń lodów pryśnie.
 Te śniegi nawet, któreś tu zuchwała
 W przepaści gór tych nawiała,
 Same mi kiedyś pomogą
 Zrzucić twoją przemoc srogą.
 Dmij więc, dmij groźnie z twemi Akwilony,
 Ścinaj, krępuj nurt ścieśniony;
 Spieszając wiosny nie zatrzymasz w pędzie,
 Pójdziesz, skąd przysłaś, Wisła Wisłą będzie.



OSIEŁ I CIELE.

Jaki też to osieł ze mnie!

Tak się raz ciele łajało;

Że się przelekło daremnie,

I jak głupie uciekało.

Ale gdy się tak rozwodzi,

Jakieś oślątko nadchodzi;

Idzie, idzie zadumane,

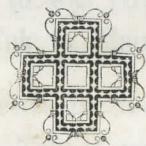
Łbem się uderza o ścianę

I mówi, myśląc nie wiele:

Jakie też to ze mnie ciele!

Tak i ludzie z siebie szydzą,

I w swych błędach drugich widzą.



ZAJĄC.

Często w malój przyczynie wielkich nieszczęść źródło.

Pewne zwierzątko lwa rogiem ubodło,

A więc w skutku téj obrazy

Strasliwe wydał rozkazy:

Aby, kto tylko z rogiem się urodził,

Natychmiast z puszczy wychodził.

Wyszło więc wszystko co z rogami było:

Kozły, bawoły, jelenie, daniele,

Lecz co najbardziej dziwiło,

Ze zając zmykał na czele.

A ty znów po co chcesz uciekać z lasu?

Tak nań wolano po drodze;

A on im na to w strasznej rzeczy trwodze:

Muszę się wynieść zawczasu.

Wystawcie sobie: w mojem życiu całem
Takiego strachu jak wczoraj nie miałem

Gdym cień mych uszu zobaczył;
Nużby też kiedy jaki żandarm srogi
Długość ich sobie na złe wytłómaczył

I może wziął je za rogi!
Na te słowa śmiech do koła,
Každy, tchórz! tchórz! woła.

Lecz moje zdanie nie jest tak surowe,
Nie tak on bardzo swoją trwogą błdził;
A nawet jak to na zajęczą głowę,
Nie źle o swych czasach sądził.



WILK I JEŻ.

Liczne zwierzęta w pewnym wielkim lesie,
Syte nareście i boju i chwały,

Gdzieś tam na walnym kongresie
Wieczny pokój podpisały.

A więc radość i skakanie;

Co za grzeczne oświadczenia,

Jakie łapek podawanie,

Jakie ogonów kręcenia.

Aż miło patrzeć jak to lew z tygrysem,

Lampart z niedźwiedziem, zając igra z lisem,

Jak się ze łzami ściskają rzewnemi

Wilk z baranem, pies z kotem, a osieł z wszyskimi.

Wśród téj atoli radości, skakania,

Lub przynajmniej udawania,

Sam jeż na stronie stał sobie spokojny.

Nuż więc do niego pewien wilczek zdradny,

Chytry, układny,

Skryty podszczuwacz tyloletniej wojny,

Zbliża się, lasi, i tak mu powiada:

Szanowny jeżu coś cię to napada,

Chceszże rozrywać to święte przymierze,

Co nam wieczyste zaręcza swobody,

Czyż to przystoi na tak światle zwierze!

Samemu się najeżać wśród powszechniej zgody;

Małoż to jeszcze krwi naszej po świecie,

Jeżu, ach jeżu, pomiarkuj się przecie.....

Jeż wzniesionemi mierząc go oczkami:

O coś ci idzie? skromnie mu przerywa.

O rzecz maleńką, wilczek się odzywa:

Zrzuć twoje kolce i pójdz igrac z nami.

Mam igrac z wami? zręczny jeż odpowie:

Wprawdzie iż całe bezpieczeństwo jeży

Od samych kolców zależy,

Ale któż twojej oprze się wymowie;

Zrzucę je, zrzucę, natychmiast to zrobię,

Skoro twe ząbki każesz wyrwać sobie.

Przebacz, stare przysłowie mamy w naszym rodzie:

Bądźże z wilkiem ostrożny, nawet i po zgodzie.



KARTOFLE.

Mnogie, rozrosłe kartoflane plemie
Chciwe na wszelką, zwłaszcza cudzą ziemię,

Strasznie naraz udumniało,

Że spirytus w sobie miało.

Pycha ta nie znała granic:

Wszystkie płody miała za nic.

Ledwie za Boskie stworzenie uchodził,

Kto się kartoflem nie zrodził.

Śmiano się mówiąc: co za duma dzika,

Oczywiście że ma bzika.

Ale ród ten pyszałkowy

Coraz bardziej wznosząc głowy

Wrzeszczał, krzyczał jak szalony:

Świat dla kartofla stworzony!

Daléj więc, daléj, na pola! na grzędy!

Tak po ich zborach wołano:

Zburzmy te śmieszne drobnych kopców rzędy,
 W których nas dotąd trzymano,
 Zbudujmy z wszystkich jeden gmach potężny,
 Gmach ogromny, niebosiężny,
 By mu nawet dodać wzrostu
 Zwiększmy go rzepą, ćwikłami;
 Skradźmy je, skradźmy po prostu,
 I przewijmy kartoflami.

Wielki więc luszytk, hulanie,
 Tłoczą się jedne, drugie włożą na nie;
 Cisną się, drapią do góry
 Bambry, Szwaby, Brandebury.*)

Kiedy w tém nagle wśród te dumne płody
 Powstał jakiś gwar, niezgody,
 Ten raz poraz jęknął, pisał,
 Że go strasznie drugi cisnął.
 Tamten znów krzyczał, jakby z głębi ziemi,
 Że się udusi pod niemi.
 Nuż się więc klócić i spychać,
 Spychać od rana do zmierzchu;
 Każdy chciał wolniej oddychać,
 I każdy chciał być na wierzchu.

*) Takie nazwy daje lud Wielkopolski kartoflom.

Nie dosyć na tém: owo cudo świata,
 Owo mądre, wieczne dzieło
 Sypane całe trzy lata,
 Nagle psuć się, gnić zaczęło.
 Powstał fetor niesłychany;

I z strasznym grzmotem,

Łoskotem,

Runął Babel kartoflany!

W ówczas to poznał ród ów nędzny, lichy,
 Że sam swój dumie nie sprostał;
 Kiedy z téj całej, tak buńczucznej pychy,
 Stos tylko błota pozostał.



KUNDEL.

La propriété est un vol.
Proudhon.

Gdzieś tam na dworskie rzuconą śmiecie,
Porwał kość kundel i zaniósł w krzaki.
Mnieby nie skusił specyał taki,
Lecz różne gusta są w świecie.
Kundel go smacznie ogryzał,
Nie raz się nawet oblizał.

Widząc to zdala liczne psów roje,
Z strasliwym wrzaskiem przybieżą:
Co za kryminał gryść własność swoją —
Własność jest czystą kradzieżą.
Kość ta należy do psa każdego;
I nuż więc czekać na niego.
Kundel nasz z razu nie zważał na nie,
Na chwilę nawet nie sarknął,
Lecz ciągle głupie słysząc szczekanie,
Tak im zawarknął:

Szczekacie wszystkie jakby opętane,
Ledwie wam gardziel nie pęknie,
Co na psy dworskie lepij wychowane,
Nie jest ni mądrze ni pięknie.
Czemuż zamiast głupiej wrzawy,
Nie tak szukać, jak ja, strawy.
Pracujcie tylko — a naostatek

Każdy z was znajdzie swój gnatek.

Gdy w tém ogromny brytan przypada —
Kundlowi kość tę wydziera,
Spokojnie sobie zasiada,
I smaczny kasek obżera.

Wrzawa więc nowa, większa, niesłychana —
Wrzeszczą, krzyczą na brytana;
Sam kundel nawet między psy ucieka,
I najgłośniej z wszystkich szczeka.

Liczna jest takich kundelków gromada,
Trafia się nawet i na naszej ziemi;
Oszczekiwana, póki coś posiada,
Straciwszy, szczeka z drugimi.



MYSZ, KOT, WILK I TYGRYS.

Jak to się jedna zbrodnia za drugą ugania.

Mysz, co siódmego nie zna przykazania,

Ziarnko orzechu wiewiórcie ukradła,

Zaniosła w krzaczek i zjadła.

Kot tak szkaradnym przerażony grzechem,

Nie mógł się wstrzymać od złości;

Bo kto też słyszał o takiej chciwości,

Kto widział cudzym tuczyć się orzechem?

Aby więc takie poskromić rozboje,

Porwał ją, zdusił i schróstał jak swoją.

Lecz i do niego w tejże samój dobie,

Skradał się wilczek za drzewem:

A tuś mi zdrajco! z strasznym krzyknął gniewem.

I zjadł go sobie.

Aż się też wreście groźny tygrys zjawia —

Idzie poskromić tak liczne bezprawia,

I razem, jak przystoi na paszczę zwierchnika,
Wilka, kota i myszkę i orzech polyka.

I na tém koniec. Napróżnom się starał,
Z mojej bajeczki wywieść morał jaki!

Nie zjawił się taki,

Coby tygrysa ukarał.



GĘSI.

Ni ztąd ni zowąd nagłą zdjęte trwogą,
Gęsi pod bliskim zerwały się lasem,
I wielką przez wieś uciekając drogą,
Z strasznym leciały hałasem.

Cóż to za głupstwo z takim wrzaskiem wpadać.
Tak zlekły kogut z wzniosłej woła tyki —
Nikt was nie myśli ni gonić ni zjadać,
Poco więc, poco te krzyki?

Alboż my wiemy co się dzieje z nami —
Tak rzecze jedna pędząca w odwodzie —
My tylko lecim za temi gęsiami,
Które tam krzyczą na przodzie.



MAŁPA.

Nic łatwiej małpie, jak konceptem ruszyć,
Ma ich dostatnie zapasy;
Jedna z nich chciała morze osuszyć,
I ztąd nabrzeżne zapaliła lasy.

Co za pomysł jeniałny!
Pomysł wielki! radykalny!
Liczne wołały zwierzęta.
A małpa pychę nadęta,
W takim prawila im tonie:

Wielkie, niezmierne lądy wam odsłonię,
Skoro od ognia wyparuje morze;
Republikę wam utworzę,
I na wieczny przykład światu,
Tak was urządzę praktycznie,
Że prócz pewnego dla mnie majoratu,
Wszystko będzie komuniknie.
Nowa ta dla was ojczyzna,
Będzie zbawienna golizna.

Wszystko wolne,
 Wszystko wspólne!
 Nikt się więc o nic nie strapi,
 Nikt nie będzie karał, sądził,
 Nikt nie słuchał, każdy rządził,
 A co może, to zacapi.
 Ale gdy się tak z swą mową rozszerza,
 Raz, wraz, jakiegoś zapytuje zwierza:
 A cóż, czy morza ubywa?
 Jeszcze nie, — lis się odzywa.
 Ależ przynajmniej już się warzą wody?
 I to nie, — wilczek odpowiada młody.
 Czekaj więc małpa — ale cóż się stało?
 Mnóstwo lasów się spaliło,
 Kropli wody nie ubyło,
 I morze morzem zostało.
 Tak to niejedyn wicherzyciel wleci,
 I już natychmiast ogień swój nieci,
 Natłokiem głupców się puszy.
 Ale czemuż się pochłubi?
 Morza nieszczęść nie osuszy,
 A kraj i zniszczy i zgubi.



ŻOŁĄDZ I DYNIA.

Pewien chłop, Marek z imienia,
 Patrzył się pełen zdziwienia
 Na dynię, której tak cienka łodyga,
 Tak ogromny owoc dźwiga.
 Widać jest, rzecz, że Stwórca pobłdził,
 Ja byłbym rzecz tę inaczéj urządził;
 Tak na przykład porządkował:
 Byłbym tam w owéj gęstwinie,
 Po wszystkich dębach porozwieszał dynie,
 Owoc do drzewa stosował:
 Tę zaś żołądz lichą, drobną,
 Tak do dębu niepodobną,
 Podły pokarm świni,
 Byłbym dał dyni.
 Szkoda, mój Marku, żeś tam w dawne lata
 Nie był przy stworzeniu świata,

Nie jedną radę byłoby się dało,
I pewno lepiej niżli teraz działa.
Gubię się w wielkim myśli moich tłumie,
Zasnąć nie można przy takim rozumie!
Kiedy tymczasem pod dębem usiada,
Kiwa się — chrapi — a w tém żołądz spada
Z jego dębu właśnie:

I tak srodze i okrutnie
Prosto w nos go utnie,
Że aż z bólu wrzaśnie.
Cóż to jest? rzecze,
Krew mi z nosa ciecze.
Małeńka żołądz — a tak mi dojadła,
Cóżby to było gdyby dynia spadła!
Żle coś mówiłem: próżna to otucha
Poprawiać Stwórcę, nawet w lichój dyni,
Wie Bóg co robi, a najlepiej czyni,
Że głupich Marków nie słucha.



FILOZOF.

Pewien Filozof gdzieś tam w Perskiej ziemi,
Co śmiał łotrami nazywać zbrodniarzy,
A nawet głupich, głupiem,
Padłszy ofiarą zbyt licznych potwarzy,
Za kartusza okrzyczany,
O wszystkie zbrodnie ścigany,
I bluźnierstwo,
I kacerstwo,
I sztylety i trucizny,
Wreście o zdradę ojczyzny, —
Rzucił swój domek i na wieczne czasy
Wyrzekł się ludzi i uciekał w lasy.

Cóż czynisz? jeden z przyjaciół mu rzecze:
Chceszże szalony człowiecze

Wchodzić pomiędzy niedźwiedzie i dziki,
Co cię w najpierwszym rozszarpia parowie?

A ten mu na to odpowie:
Kły tylko mają — a ludzie języki.



TYGRYS I JEŻ.

Prawem paszczęki i pazurów srogich,
Tygrys szeroką władnący dziedziną,
Na tronie zbudowanym z kości zwierząt mnogich,

Z groźną siedział miną.

A że wzniósł się tak wysoko,

Mysłał, rozważał głęboko,

Iskrzące toczył żrenice;

Zatopił się w polityce.

Śliczne mu w głowie snuły się układy,

Jakby to swoje pozjadać sąsiady,

Wzmocnić się, zwiększyć przez napaści nowe,

Jak zaokrąglić państwo tygrysowe.

Kiedy w tém dziwnym sprowadzony losem,

Jeż mu się przemknął pod nosem.

Zerwał się tygrys i rozjadł niezmiernie,

Straszną śmierć mu zapowiada:

A że takich obietnic dotrzymywał wiernie,
 Już go więc połknąć przypada.
 Lecz jeż na to: stój niebaczny!
 Nie bardzom z memi kolcami jest smaczny;
 Mógłbyś sam siebie o tę śmierć przyprawić,
 Można mię połknąć lecz nie można strawić.



ŚMIERĆ I MIŁOŚĆ.

Tkliwa miłość z śmiercią sroga,
 Każda swoją ciągnąc drogą,
 Po długim i nużącym biegu,
 Zeszły się raz na noclegu.
 Pod jednym dachem obiedwie stały,
 A że wzajemnie swych grotów się bały,
 Każda oddzielnie złożyła swe strzały,
 A potem obie zasnęły.
 Ileż to jęków ucichło wraz z niemi,
 Jaka cisza po całej rozległa się ziemi!
 Zasnęły z pierwszą wszystkie ludy, światy,
 Najmniejsze nawet kochające twory.
 Zasnęły z drugą rozbójniki, katy,
 Zasnęły nawet doktory.
 Lecz nie tu koniec. Śmierć mimo znużenia
 Bo któż ma tyle w świecie do czynienia!

Wstała z wybiciem północnej godziny;
 Lecz aby śpiącej nie zbudzić dzieciny,
 Cicho na palcach w drogę się wybiera;
 Sięga — znów sięga — błaka się — obziera,

Wszędzie strzał swych upatruje,

Z kąta do kąta powraca,

Szuka, maca,

Aż je nareście znajduje.

Znajduje, lecz nie swoje. — Omyłko straszliwa!

Okropny skutku ciemnoty,

Własne swe zostawia groty,

Sajdak miłości porywa.

Wstała i miłość chociaż późnię trochę,

Lecz, jak to zwykle, i dziecko i płochę,

Błędu swego nie postrzegło;

Co zastało,

To zabrało,

I w dalszą drogę pobiegło.

I nuż więc hałas, wrzawa, zamieszanie,

Jakiego dotąd nieznali ziemianie!

Wszystko okropnym działło się przewrotem,

Śmierć strzelała miłości, miłość śmierci grotem.

Cios jednemu przeznaczony,

Zawsze ktoś drugi odbierał;

Ten co miał umrzeć kochał jak szalony,

Ten co miał kochać, umierał.

Jak grad leciały ich okrutne ciosy,

Wszystko się pomieszało, i wieki i losy,

Ludzie, niebianie, cały świat osłupiał,

Na chwilę nawet i sam Jowisz zgłupiał.

Ach! gdyby były przez litość nad światem,

Srogie te bóstwa poprzestały na tém,

Gdyby choć nadal swoje zgubne strzały,

Lepiej przed sobą chowały —

Lecz na nieszczęście tym dawnym zwyczajem,

I teraz często mylą się nawzajem.

Egle-rodziców, kochanka nadzieje,

Ginie w kwiecie swój młodości,

A stara Flora i jęczy i mdleje,

Przeszyta strzałą miłości.

I cóż ztąd wywieść? wszędzie widok ludzi

Do śmiechu tylko, albo do łez budzi.



DRABINKA.

Nacóż to, mamó, ta długa drabinka
 Stoi u tego kościoła?
 Tak uroczą jój dziewczynka
 W ciekawości swój zawoła.
 A matka na to: nie wiem moje dziecko;
 Lecz wiem że każdy na świecie
 Po drabince życia bieży!
 Po niej w górę piąć się trzeba,
 I od nas tylko zależy,
 Aby ją oprzeć o Nieba.



AGATKA I JAKUB.

W przykładm stadle, młode, szczęsne latka
 Przeżyli z sobą Jakub i Agatka:
 Bez klótni, zwady, bez najmniejszej sprzeczki,
 Zgodni jak dwie turkaweczki
 Syn ich Tomaszek, pełen był pokory,
 A tak posłuszny, tak do usług skory,
 Tak cichy w pośród rodzinnego kółka,
 Że go miano za aniołka.
 Zwierzątka nawet mieszkające z niemi,
 Nadzwyczaj były dobreimi;
 To się w gronie milem, słodkiem,
 Razem pieścili z Tomaszkiem,
 To znów piesek igrał z kotkiem,
 A kotek bawił się z ptaszkiem.
 Słowem nikt jeszcze nie widział takiego
 Szczęścia, raju i swobody,
 I nie było większej zgody
 Nawet i w arce Noego.

Ależ i lichy przyszło nareście!

Jakiś głupi kiermasz w mieście

Całą tę zgodę rozstroił.

Nasz Jakóbek,

Nalał w czubek,

I żonie skórę wyłoił.

Żona kwaśną strojąc minkę,

Przez zemstę na złość mężowi,

Za jakąś tam drobną winkę

Dala różgą Tomaszкови.

Chłopiec z wielkim gniewem, płaczem,

Wybił pieska harapaczem;

Pies niecnota

Pogryzł kota;

Kota nawet czart pokusił,

Porwał ptaszka i udusił.

Tak to zły przykład, gdy się zdarzy komu,

Z łatwością się rozkorzeni:

Raz tylko djabła wpuść do twego domu,

A raj ci w piekło zamieni.



JAGNIE.

Maleńkie jagnie w pewnym wielkim lesie,
Płacząc i biegnąc gdzie je rozpacz niesie,
Takim zwierzęta przyzywało glosem:

Zlitujcie się nad mym losem,

Moją dolą oplakana,

Wspomóżcie biedną sierotę,

Ścigajcie wilka niecnotę,

Porwał mi matkę kochaną.

Przez wzgląd na całe rodzeństwo,

Na publiczne bezpieczeństwo,

Zbierzmy się razem, zbierzmy,

I na tyrana uderzmy.

Zachowajcie to w wspomnieniu,

Co wam żal mój przepowiada:

Zaczął na owcy, skończy na jeleniu,

I tak nas wszystkich pozjada

Zbiegły się zewsząd liczne zwierząt trzody,
 Tkliwym nieszczęścia przywołane głosem,
 Każde okropnej słuchało przygody,
 Każde nad swym drżało losem.
 Zając rozmyślał o swój nędzy, biedzie,
 Jeleń lży ronił nad dolą zwierzęcia,
 Lis burzył, wilk się srożył, mrucały niedźwiedzie,
 Ale nikt nie wsparł jagnięcia.

Lecz pocóż biedne zwierzęta oskarżać,
 Poco bajkę stwarzać?
 By widzieć ciągle niewinnych nękanie,
 Płonne z przemocą zapasy,
 Słyszeć daremne na bliźnich wołanie,
 Potrzebaż iść w lasy?



NIEDŹWIADEK.

Zona niedźwiedzia urodziwszy synka,
 Pokochała go szalenie.
 Ten miły głoszek, to wdzięczne spojrzenie,
 Zwłaszcza ta dowcipna minka,
 Którą widziała w swoim lubym płodzie,
 Tak jój głowę zawróciła,
 Że tylko o nim, o jego urodzie,
 Po całym lesie trąbiła.
 Nic nie знаła piękniejszego,
 Najmniejszych nawet nie widziała wadek,
 Żaden smorgoński niedźwiadek,
 Ani się umył do niego.
 Słowem pewną była,
 Że samego lwa zrodziła.
 Mąż, który zdala na dwóch łapach siedział,
 Długo jój ani słówka nie powiedział;

Lecz wręście tylu pochwały znudzony,

Zbliża się do żony.

A wprzód ją łapką pogłaskawszy grzecznie,

Tak do niej mówić zaczyna:

Moja ty duszko, zrodziłaś mi syna,

Niech cię to przecież nie martwi zbytecznie,

Kiedy ci wyznam otwarcie i śmiało,

Że to pieścidło w twych oczach tak ładne,

Wcale nam się nie udało,

I że jest monstrum szkaradne.

Co! monstrum! — ryknie, i na męża wpada,

Ledwie oczu nie wydrapie.

Otóż ja — rzecze — pokażę ci capie,

Że to jest lewek i lewek nie lada.

I nuż więc lizać swoje drogie dziecię. *)

Liże go po łbie, po grzbiecie,

Liże go z boku, liże z przodu, z wierzchu,

Liże od rana do zmierzchu.

Ale któż sobie żal jój wyobrazi,

Gdy na nic wyszły lizania tak długie,

*) Bajka ta opiera się na mylném lecz upowszechnioném podaniu, że niedźwiadki rodzą się potworami, i że dopiero lizanie nadaje im kształt właściwy. Ztąd u Francuzów wyrażenie — un ours mal leché. — Ztąd błędne to mniemanie rozciągało się u starożytnych i na inne zwierzęta. Dowodem tego jest owo miejsce w Wirgiliuszu — fingere corpora lingua.

I gdy nareszcie wyłazi,

Taki niedźwiedź jak i drugie.

Krzyczy więc, ryczy, tarza się i pieni,

Ostre mi drze się pazury.

Wszystko próżno: nikt nie zmieni

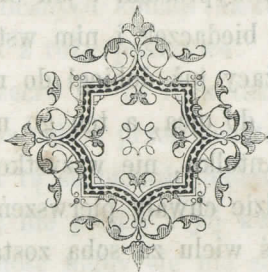
Pierwotnych rysów natury.

Pomimo wszelkie trudy i staranie,

Kto się zrodził niedźwiedziem, niedźwiedziem zostanie.

Zdarza się i uczonym podobny przypadek,

Mąż krytyk, żona autor, a dzieło niedźwiadek.



DZIECI.

Goniły się raz dzieci na wiejskiem podwórku:
Szło oto kto najpierwszy z nich stanie na wzgórku;
Antoś, co do najzwawszych chłopczyków należał,
Wszystkich z razu wyprzedził i jak strzała bieżał,
Gdy w tém upadł biedaczek i nim wstał, niestety,
Drugi za nim dążący już dobiegł do mety.
A więc w płacz i do ojca, a ten go na stronę:
Nie płacz drogi Antolku, nie wszystko stracone —
Jeden cię wprowadzie chwały pierwszeństwa pozbawił,
Lecz za to, jakżeś wielu za sobą zostawił.

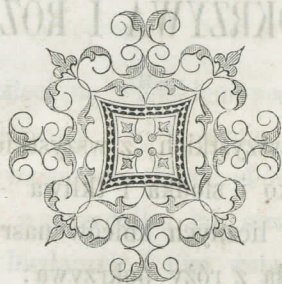


POKRZYWA I RÓŻA.

Przykra dla wszystkich, z wszystkimi zwaśniona,
Dla siebie tylko i słodka i tkliwa —
Tak się wśród licznych kołców nasrożona,
Gorszyła z róży pokrzywa:
Bawi mię — rzecze — ta róża tak sławna,
Co niby skromną udaje przed światem,
Znam ja tę skromność oddawna,
Któż się nie pieścił z jój kwiatem?
Mnie taka płochość nigdy się nie zdarzy,
Wszystkim wiadomo jak jestem surowa,
Mojem godłem są te słowa:
Kto się dotknie, ten się sparzy.

I pocóżby się tykał? tak jój rzecze z boku,
Jakiś pasterz w wieczornym dumający mroku:

Można dla róży mniej na kolce zważać,
I na ranę się narażać,
Lecz któżby mając kwiat tak wdzięczny, tkliwy,
Chciał się parzyć dla pokrzywy.



NIETOPERZ.

Wpadł raz nietoperz do jamy łasiczki,
Myszego rodu wielkiej przeciwniczki.
Z strasznym więc gniewem ku niemu przyskoczy:
Jak ty śmiesz — rzecz — stawać mi przed oczy,
Ty coś jest z tego brzydkiego plemienia,
Myszą, monstrum przyrodzenia.

Przepraszam, — w kornój rzeczce jój postawie —
Ja się myszostwem nie bawię.
Ja mam być myszą! ja straszylłem takim!

Cóż to za potwarz obrzydła!
Dzięki Bogu jestem ptakiem,
Wszakże moje widzisz skrzydła.
I nuż w hurra i wiwaty,
Niechaj żyje ród skrzydlaty!

Wkrótce atoli wśród szarój godziny,
Gdy się znów kręci jak waryat jaki,

Zapada do jój kuzyny,
 Strasznie zawziętej na ptaki.
 A tuś mi, — krzyknie gniewna i zajadła —
 Każdy ptak tu umrzeć musi!
 I już doń z długim swym pyskiem przypadła,
 Pewna, że ptaka w nim zdusi.
 Stój! — woła biedak — jakież szal cię bierze?
 Przypatrz się przecie mój całej osobie,
 Aby być ptakiem potrzeba mieć pierze,
 Ja zaś jestem myszką sobie.
 Wiwat myszy! wiwat! wrześnie,
 Niechaj w kota piorun trzaśnie!
 Tak to niejeden na dwóch stolkach siada,
 Zwija się, łasi, lisim kręci szlakiem,
 O nim to właśnie ta bajka powiada:
 Umie być myszą i ptakiem.



PAN MARCIN.

Niech лихо porwie i karty i picie,
 Już mi takie zbrzydło życie,
 Muszę się całkiem poprawić.
 Tak mi pan Marcin i chory i zgrany,
 A więc na się zagniewany,
 Nie przestawał prawić.
 A ja mu na to: piękne to zamiary,
 Lecz przebacź bratku, że im nie dam wiary;
 Wszakżeś to samo przyrzekał mi nieraz,
 A zawsześ skrewił. — Prawda jest, lecz teraz
 Poprawię się niezawodnie.
 I kiedyż? — Kiedy.... ot za dwa tygodnie.
 Czemuż nie zaraz? — Są tego przyczyny.
 I jakież przecie? — Jacka imieniny.
 Spił się na moich, jak mu nie odplacić,
 Kamienną na to trzebaby mieć duszę;

Wreście choćbym miał grosz ostatni stracić.

Rewanż mieć muszę.

Ale załedwie słów tych dopowiedział,

Doszedł do chłopca co nad rzeką siedział

I spytał: cóż tak marzysz mój kochanku?

A chłop mu na to: siedzę tu od ranku.

Chciałem przez rzekę powrócić do domu,

A tu ni łódki, ni promu;

Czekam więc mój Panie,

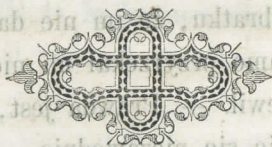
Aż rzeka płynąć przestanie.

Otóż jest, rzekłem, twój obraz Marcinie,

I ty tak czekasz, aby się nawrócić.

Gdzie przejść nie można, trzeba w pław się rzucić,

Bo rzeka zawsze popłynie.



SZTUKA MUŚLINU.

Pewien żydek, Mosiek stary,

Co się wielkim handlem szczycił,

Miedzy innemi towary,

Sztukę muślinu przemycił.

Muślin ten był w pierwszej modzie,

Wielki zysk więc przewidywał,

Liczył na palcach, pysznił się i kiwał,

I raz wraz głaskał po brodzie.

Ale załedwie swój towar rozwinie,

W strasznym się ujrzy kłopotcie:

Drobnych się plamek niezliczone krocie,

Po całym czernią muślinie.

Krzyk więc i hałas, wrzawa niepoięta,

Wrzeszczy Moskowa i wyją Mosięta,

Kiedy nasz żydziak, lis stary i szczwany,

Ciszej! — krzyknie zagniewany.

Zkąd te lamenty? i cóż tak straszego?
Odrwili wprawdzie, lecz szacher od czego?
Rzekłszy to, muślin swój bierze na barki,

Do bliskiej niesie haftarki,

I po swym całym towarze,

Złote gwiazdki rozsiać każe.

Muślin ów, ledwie gwiazdeczkami błysnie,

Chmura szlachcianek do niego się ciśnie:

Tłoczą się, wadzą i kłocą,

Ledwie żyda nie przewrócą.

Kiedy w tém pewna Jéjmość, nakształt dyni,

Chudój wioseczki tłusta dzierzawczyni

Łapie za towar, cały tłum odpycha,

Płaci w trójnasób i do domu czmycha.

Tak kiedy kto się podłością oszpeci,

Musi przejść nieraz przez te szachry same,

I na to gwiazda na piersiach mu świeci,

Aby pokryć plamę.



ZIEBA.

Zięba po kilku tygodniach zamęścia,
Czuąc że w krótkce ma ród swój pomnożyć,
Już niewiedziała z tak wielkiego szczęścia,

Gdzie ma swe gniazdo założyć.

Obrała sobie dąb najwyższy w lesie,

I już natychmiast krząta się i cieszy,

To suchy listek, to znów słomkę niesie,

To z jakąś trawką na wierzch dębu spieszy.

Zwija się, szuka na prawo, na lewo,

Sztucznie dōwcipną swą kołyskę splata,

Stokroć na ziemię i stokroć na drzewo

W jednej godzinie przelata.

Ale nie długą każda radość bywa,

Zwłaszcza gdy szczęścia chcemy szukać w gorze,

Plakała w krótkce zięba nieszczęśliwa,

Na skwary słońca, na okropne burze;

Biły pioruny, huczał wicher wściekły,
 A zwłaszcza grady niezmiernie ją siekły.
 Na dół więc, na dół, czempredź się chroni,
 I w pośród trawy drugie gniazdo wije —
 Lecz i tam znowu nieszczęście ją goni,
 Bo któż się przed niem ukryje?

Zaledwie pracę ukończyła swoje,
 Wszystkie się na nią przeciwności zwały:

Wilgoć, kurzawa i robactwa roje

Biedną ptaszynę wyгнаły;

Siada więc sobie i z ciężkiem westchnieniem

Duma, co dalej uczynić.

Szczerze się z swoim rachuje sumieniem,

W czém mogła Niebu zawinić.

Płacze i płacze nieszczęsna ptaszyna,

Lecz czegoż matka nie czyni!

Skarzy się, dręczy, — losy, Nieba wini,

A trzecie gniazdo zaczyna.

Ściele je sobie na młodej leszczynie,

Ściele i znowu po górach, dolinie,

Szuka i zbiera i niesie.

I jakby w inną przeniesiona knieję,

W krótkce się dziwi, dumieje,

Zkąd taka zmiana po lesie;

Jakaś nieznana jój władza

Całą naturę odradza,

I wszystko cichszem się zdaje —

Rośnie jój praca miłosna,

Milsze życie, milsza wiosna,

Nakoniec matką zostaje.

O jakże wówczas wołała na zięby,

Na wszystkie nawet ptaszyny:

Nie lećcie siostry na wysokie dęby,

Nie spadajcie na niziny.

Nie gońcie płochych urojeń po świecie,

Obierzcie sobie jaki krzaczek bliski —

Ni zbyt wysoki, ni też nazbyt niski,

A pewno szczęście znajdziecie.



OŚ.

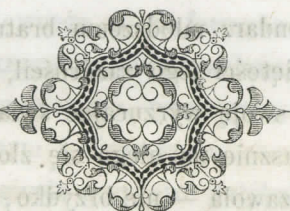
Uładownego wozu furmana —
 Tak skrzypiała oś drewniana,
 Z takim piskiem, przykrym, głośnym,
 I rażącym i nieznośnym,
 Że każdy na gwałt uszy swe zatykał,
 — I jak mógł, tak zmykał.
 Sprzykrzył się wreszcie pisk ten i woźnicy,
 Wstrzymał więc konie, wziął się do maźnicy —
 Rąk i trudu nie żałował,
 Oś porządnie wysmarował;
 A gdy znów z miejsca ruszył, biczem świsnął,
 Już wóz jego ani pisnął.
 Tak to niejedne rządy się ratują,
 Gdy przeciw sobie liczne wrzaski słyszą:
 Łapy krzykaczów smarują,
 A natychmiast się uciszą.



STARY I NOWY KALENDARZ.

S
 tary kalendarz młodszemu bratu,
 Wziętości jego zazdrościł,
 I wzgardę swoją wyrzucając światu,
 Strasznie na niego się złościł.
 Czyż to — zawoła — nie brzydko, nikczemnie!
 Każdy mię dawniej lubił, chciwie czytał,
 Mnie się ciągle radził, pytał,
 Nie mógł się obejść bezemnie.
 A dziś tak srogo, tak dumnie
 Gdzieś tam w brudny kąt mię ciska
 Między stare papierzyska,
 I nie spojrzy nawet ku mnie.
 A młodszy na to: cóż w tém dziwnego,
 I o cóż tyle hałasu?
 Świat cię opuścił lecz tylko dla tego,
 Żeś już nie jest z tego czasu.
 Toż samo za rok i mnie oczekiwa,
 Toż samo wreszcie i wśród ludzi bywa,

Wszystko co niegdyś taką miało chwałę,
Słynne poety — wodze — dygnitarze,
Dawne wolności — panny podstarzale,
Wszystko to, wszystko stare kalendarze.



POŚĄG.

Z drogi! z drogi! wołając na lud przerażony
Pewien despota w swym grzmiącym przełocie,
Ujrzał swój posąg świeżo obalony,
I leżący w błocie.
Miecza! katów! zakrzyknie, niechaj ginie zdrajca,
Niechaj śmierć jego przykładem się stanie,
Któż jest ten zbrodniarz? kto ten winowajca?...
Piorun! Najjaśniejszy Panie.



KOGUTEK I GĄSIĘTA.

Można się czasem wystrychnąć na dudka,
A przecież głupich dziwić i zdumiewać.
Złapał raz Stasio żwawego kogutka,
Opoił winem i kazał mu śpiewać.
Drze się więc kogut i w głupim obłędzie,
Wrzeszczy i krzyczy po grzędzie —
Ledwie mu gardziel nie pęknie;
A mnóstwo gąsiąt stojące do koła,
Strasznie się dziwi i woła:
Jakże to mądrze i pięknie!
Któż kiedy takie kuranty wycinał,
Sam on to sposób swego piania stworzył,
Sam nową drogę otworzył —
Vivat! kogut oryginal!
Cóż to jest? rzekły koguty znudzone —
Czyście zgłupiały, czy też drwicie sobie,

Któż widział w takim uwielbiać sposobie
Pijaka krzyki szalone
Możnaż sumiennie takim bredniom nadać
Imię koguciego pienia,
I z tego wrzasku, krzyczenia,
Choć za grosz sensu wybadać?
Zawsze z tym sensem! wszystkie gąski krzykły —
Ni w pięć, ni w dziewięć gadacie.
Otóż to właśnie ten krzyk tak niezwykły,
Ta dzika śmiałość której wy nie znacie,
Ta twardość dźwięków przy największym szumie,
Luba niepewność czy się sam rozumie,
To jest co w śpiewie najpiękniejszym bywa,
Co się szczytnością nazywa;
Co wieczną chwałę daje kogutkowi,
Nową epokę stanowi!
Ale nie długo trwały te zaszczyty,
W krótkce nasz śpiewak wyszumiał;
A że nie był w ciemię bity,
Sam się nad swém głupstwem zdumiał.
Zanim więc jeszcze ranna zorza błysła,
Zwykłym kogutów zaczął nucić głosem —
Ale jakimś szczególniejszym losem,
Żadna z gąsek ani pisała.

Cóż to jest? — pyta nasz kogut zdumiały —

Czyż ja śpiewam tak szkaradnie?

I owszem, — wszystkie gąski się ozwały

Śpiewasz dosyć ładnie.

Lecz jakoś w naszym upadasz kurniku.

Nie, już to nie jest to pianie szalone;

To to było kukuryku,

Właśnie dla gąsiąt stworzone.



SEKRET.

(z Lafontena.)

Nic tak nie cięży jak sekret kobiecie;

Sam on się z ust jój wyrывa,

Jakoś jój nawet lżej i zdrowiej bywa,

Kiedy się z czego wypiecie.

Pewien mąż swojej chcąc doświadczyć żony,

Tak w pośród nocy krzyczał jak szalony.

Peknę! ach peknę dla boga!

Ratuj mię żono, ratuj duszko droga,

Bo duszę z ciała wyrzesczę!

Nakoniec jakieś zdziwienie udaje:

Cóż to jest, rzeczce, wszak ja zniosłem jaje

Patrzaj kochanko, oto ciepłe jeszcze.

Lecz przebóg żono, nie rozgaduj dalej,

Boby mnie kurą przewali.

Żona szczególne jakieś niewiniątko,

A nawet trochę cielątko,

Święcie mu milczeć przyrzekła;
Cóż, gdy przysięga już z nocą uciekla.
Zaledwie że się przebudziła z rana,
Już dyrda, leci do jednej z sąsiadek:
Kumo, zawola, ach kumo kochana,
Straszny się u nas wydarzył przypadek.

Powiem wam ale w cichości:
Mój mąż zniósł jaje ogromnej wielkości —
Ależ na Boga nie mówcie nikomu,
Kijemby mnie wygnał z domu.
Nie znasz mię, druga rzecz, miałabym was klócić,
Jam do sekretu stworzona.
Mnie co powiedzieć, jakby w studnię wrzucić;
Idzie więc, wraca Jajkorody żona.
Lecz Panią kumę już języczek śwędzi:
Dalej więc, dalej po sąsiadkach pędzi;
Szepce o wielkiem zdarzeniu sąsiada,
Zamiast jednego, troje jaj powiada.
Łapią nowinkę wszystkie kumy drugie,
I nuż o jajach szepty gęste, długie;
Ta z nich o czterech, ta o pięciu plecie,
A każda w wielkim sekrecie.
Wzmaga się sława, liczba jaj podwaja,
Rosną i rosna niezliczone jaja.

Tak iż nakoniec dzięki lotnej wieści,
Nim zmierzch osiadł na dolinie,
Już ich było sto czterdzieści,
A wszystkie wielkie jak dynie.

CHART I KURTA.

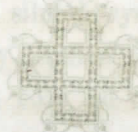
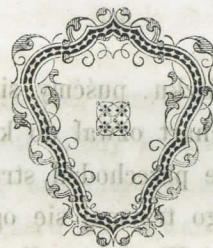


CHART I KURTA.

Wiesz co braciszku, puśemy się w te nurty.

Tak się chart ozwał do kurty —

Już jam podobne przechodził strumienie,

Śmiało więc mego trzymaj się ogona.

A ten mu na to: Kłaniam uniżenie!

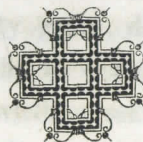
Woda ta nazbyt wzburzona.

Wiem ja wręście co się dzieje,

Gdy się w taki potok wkroczy,

Tam gdzie chart boki omoczy,

Kurcie się w uszy naleje.



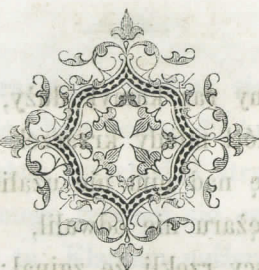
KRZAK RÓŻY.

Rzucony raz kamyk duży,
Przygniótł młody krzaczek róży.
Nikt się nad nim nie uzałił,
Nikt ciężaru nie odwałił,
I wszyscy rzekli że zginał:
Gdy w tém wonny maj nadpłynął.
I jak cudem przyrodzenia,
Zewsząd w okół z pod kamienia
Wyciska się listek wązki,
A za nim młode gałązki.
Krzak ów z razu tak nieśmiały,
Wciąż się silniej wydobywa;
I obrosłszy kamień cały,
Mnóstwem róży go okrywa.

Tak niejedna dusza cicha,
Co pod ciężkim bolem wzdycha,

Głośnych sobie skarg zabrania;
I kwiatami swój miłości,
I dobroci i litości
Kamień na sercu zasłania.

KRZAK RÓZY.



Róża, która w ogrodzie
Nikt się nie troszczył,
Nikt nie kochał,
I wspaniałe rzędy
Gdy w tym wojny mój napłynął,
I jak cudem przetrwała,
Zewsząd w okrąg pod kamieniem
Wyrosła się listek wąski,
A za nim młode gałązki.
Krzak ów z traw tak niezmieszany,
Wciąż się silnie wydobywa;
I oplotł kamień cały,
Mnóstwem róż go okrywa.
Tak niejedna dusza cicha,
Co pod ciężkim bołem wzdycha.

JABŁKO.

Prześliczne jabłko malpa zerwała —
I wzięwszy je w łapek dwoje,
I skakała i wołała:
Jabłko to jest moje.

Kiedy w tém Henryś zwinny jak łasiczka,
Wyrwie je malpie i pyszny z zdobyczy,
Lata i woła i krzyczy:
Jabłko to jabłkiem Henryczka!

Ale zaledwie na pół je rozłupi,
Patrzy, aż wewnątrz sprosny robak leży,
Co szydząc rzecze: pysznys jest a głupi.
Jabłko to do mnie należy!

Czy słyniesz z wdzięków, czy też berłem władasz,
Czy do dzieł wielkich rozum cię uzdatni —
Zbyt krótko dar twój posiadasz;
Robak właściciel ostatni.



KONIK POLNY I MRÓWKA.

(z Lafontena.)

Konik polny, co swój cały
W pośród lata czas prześpiewał,
Tak był na zimę zgłodniały,
Że tylko wiatr nim powiewał.
Żeby też odrobina jaka

Z muchy lub robaka —

Nic zgoła!

A więc idzie, płacze, woła,
U skrzętnój mrówki kłóce.
Pożycz, jój, pożycz powiada —
Kilka ziarek dla sąsiada;
Jakem konik tak zapłacę,
By tylko sierpień zawitał,
Prowizyą i kapitał.
Mrówka na to: opatrz Boże,
Ja nikomu nie pożyczam;

Do wad to moich policzam,
 Nawet i najmniejszych może.
 Ale już mię nie poprawisz;
 Raczej odpowiedz mi na to:
 Cóżeś robił całe lato
 Że się dziś żebranką bawisz?
 Tak w dziennój jak nocnej dobie,
 Wciąż śpiewałem bez ustanku.
 Śpiewałeś? dobrze kochanku,
 Teraz skakaj sobie.



MRÓWKA I PSZCZOŁA.

W jesiennój porze, gdy straszna nawała, A
 Całe zniszczyła mrowisko;
 I jak wieść niesie, dwa tysiące blisko,
 Mrowiego ludu zalała.
 Jedna z nich biedna płynąc przez czas długi
 Na drobnój słomce, jakby Noe drugi,
 Gdzieś się tam na brzeg wywlokła;
 A szczęsnym pszczółkę napotkawszy losem,
 Zziębła, drżąca, głodna, zmokła,
 Takim zapłakała głosem:
 Posil mię, posil, pszczółko dobra, tkliwa,
 Patrz jak jestem nieszczęśliwa,
 Niemam i jutra czem dożyć:
 Nikt na litości nie traci,
 Niebo ją stokroć odplaci;
 A i ty możesz zubożyć.

Wesprą cię wówczas jak ty mnie w téj dobie —

Bo jak ty drugim, tak i drudzy tobie.

Wymowną jesteś! pszczołka jój odpowie:

Lecz kiedy taka boleść cię przenika,

Przypomnij sobie owego konika,

Co także w pięknej wymowie

Twej się litości domagał;

Wszak o ziarko tylko błagał —

A ty nietylko żeś mu nic nie dała,

Jeszcześ mu skakać kazala.

Mrówka się łzami w swym zalewa wstydzicie,

Zwraca się, milczy i umierać idzie;

Kiedy z natury swej pocziwa pszczoła,

Tak ją odwoła:

Wróć, wróć, niechciałam z twojej szydzić biedy,

Przybliż się, zasil w potrzebie,

Lecz jeżeli znowu zbogacisz się kiedy,

A nędzarz przyjdzie do ciebie,

O niechże prośbą nie błaga daremną,

Nie gardź tą Niebios przestroga:

Pomnij, że i ty płakałaś przedemną,

I jak on byłaś uboga.



LEW I SŁOŃ.

Kiedy po krwawym ojca swego zgonie,
Sultan Lew drugi na swym zasiadł tronie;
Chcąc zdolność swego wezyra ocenić,
Zapytał słonia co ma w kraju zmienić.
Słoń na to: Panie, wszystkie twoje państwa,
Toną w roskoszach lubego poddaństwa;
Śliczne masz stepy i puszcze niezmierne,
Wszędzie w twych jamach leży łup na łupie,
Trapią mię tylko twoje osły wierne,
Że zawsze głupie i głupie.
Oświeć ich Panie, ach oświeć dlaboga,
Połóż koniec téj ohydzie —
Choćbyś miał nawet użyć i batoga,
Użyj go, użyj, o ich dobro idzie.
Stój! Lew zaryknie, zkład ci to szaleństwo,
Natoż to Nieba na tron mię wyniosły,

Bym zmuszał, dręczył moje drogie osły,
Za cóż takie okrucieństwo?

Czyż losu swego nie znoszą w cichości,
Czyż nam nie dobrze, nie wygodnie z niemi?
Nie! nigdy takiej nie ścieśnię wolności,
Niech sobie będą głupiem.



W A Z.

Śmieszny wężowi przypadek się zdarzył,
Ogon się z głową poswarzył,
Głowa od wieków miewała pierwszeństwo,
Bo któż mógł lepiej ogonem kierować;
Cóż gdy przez jakieś szaleństwo,
Chciał na jój miejscu przodkować.
Jak to? zawoła, onaż ma być Panią,
Ja się wiecznie czołgać za nią?
Nie, nie, -- poznałem dzielność własnej siły,
Jestem jój bratem, nie sługą stworzony;
Dosyc już głowy rządziły,
Przyszła kolój na ogony.
I nuż więc w prośby: Potężne Niebiany,
Zgromcie te srogie ogonów tyrany;
Niechaj sam ogon i rządzi i radzi,
Niech ogon głowę prowadzi.

Niebiany, których dobroć nieszczęśliwa,
Nieraz w swych skutkach zbyt okrutną bywa,
Mylnie w swem boskiem uradziły gronie,
Zamiast skarcić szal zuchwały,
Głupiej prośby wysłuchały,
I rzekły: „ruszaj ogonie.“

Rusza więc ogon, śmiało naprzód zmierza....
Lecz gdzież mógł zaleść przy swojej ślepcie,
To się o drzewo, to o głaz uderza,
To w strasliwym grzęźnie błocie.
Wreście, gdzie wieczna czeka go zagłada,
W bezdenną przepaść zapada,
I tak przez swoje rządy ogonowe
Gubi i siebie i głowę.

Tak to i całe narody zabije
Zapał wściekłego szaleństwa,
Kiedy się jadu zawiści opije
Brudny ogon społeczeństwa.



SUKNIA PRADZIADKA.

W drobnego księstwa grodzie stołecznym,
W zamku starym, średniowiecznym,
Został po zmarłym księciu ubiór cały,
Równie drogi, jak wspaniały,
A tak świeży, niepomięty,
Jakby dzisiaj z igły zdjęty.
Zacny syn jego dostawszy go w spadku,
W srebrnej go skrzyni zamykał;
Wnuk nawet drogiej pamiątki po dziadku
Do zgonu swego nie tykał.
Lecz za prawnuka co rządzić zaczynał —
A był dziwny oryginał —
Całkiem inaczej się działo:
Sam Bóg wie tylko, z kądem mu się ubrdało,
Że bardzo mądrze uczyni
I godność swoją podwoi,

Gdy te szaty wyjmie z skrzyni,
 I sam siebie w nie przystroi.
 Jakoż wziął na się ów ubiór dziejowy,
 Przywdział mundur dwuwiekowy,
 Nakładł ozdób, drogich, sutych,
 Stapał w butach srebrem kutych,
 W długich na łokieć ostrogach,
 A na cześć, chwałę dziedziczną,
 Na perukę dynastyczną
 Wdział kapelusz o trzech rogach,
 Tak iż każdy oczny świadek
 Wołał, widząc te przemiany:
 „Stary książę wykapany —
 „Kubek w kubek Pan pradiadek!“
 Lecz że i głupstwo taką ma naturę,
 Że czasem wszelkie przechodzi granice,
 Tak i nasz dziwak nos zadarłszy w górę,
 Wyszedł jeszcze na ulicę.
 Alić ledwie na nią wkroczy,
 Krzyczący motłoch się tłoczy;
 Krzyk ten całe miasto ściąga
 Z wszystkich murów, baszt i gmachów,
 Z wszystkich okien, z wszystkich dachów
 Wpatrują się w dziwoląga.

Gdy w tém ktoś z boku wykrzyka:
 Biada nam! książę ma bzika!
 Na głos ten dziwak, ledwie się nie wściecze:
 Z kordem w dłoni
 Lata, goni,
 Bije i rąbie i siecze;
 Kiedy w tém pędząc ku zamkowej bramie,
 Pada na bruk i kark łamie.
 Cofać się ciągle w czasy przedwiekowe,
 Odrzucać lepsze, dla tego że nowe,
 Rzecz to u książąt nie rzadka;
 A przecież owe zabytki zbutwiały,
 Dzikie przesady i formy zgrzybiały,
 Wszystko to suknia pradiadka.



ŚWINIA I CHMURA.

Grzmiało — wiatr czarną napędzał chmurę;
 Ciesząc się świnia, patrzyła w górę.
 A to mi głupia! chłopek się odzywa:
 Od trzech dni słota moje gnoi żniwa,
 Ciągłe leją deszcze;
 Ta się zaś cieszy, że ma padać jeszcze.
 A świnia na to: może iż ta słota
 Do twój się zguby przyczyni,
 Lecz będzie więcej i kałuż i błota,
 Nadzwyczaj miłych dla świni.



OSIEŁ I JACEK.

Biedził się Jacek od dobrej godziny,
 Nie mógł osłowi poradzić;
 Niewiedzieć z jakiej przyczyny,
 Nie dał się przez most prowadzić.
 Nie pójdę, rzecze, dość tych dziwactw znoszę,
 Męcę się, niszcę, i już ledwo łążę;
 Ja mam iść naprzód! i dla czego proszę?
 Wielka przyczyna, że tak Jacek każe!
 Jacek tymczasem na nowo go zmusza,
 Ciągnie za uszy, kijem, drągiem ćwiczy.
 Osieł nie tylko że naprzód nie rusza,
 Jeszcze się cofa i ryczy.
 Niechże cię wręście jasny piorun trzaśnie —
 Gniewny Jacek wrzaśnie.
 Nic ja tu z tobą nie zrobię;
 Gdy mu w tém nagle błysnie myśl szczęśliwa,

Leci w tył osła, za ogon porywa,
 I silnie ciągnie ku sobie.
 Ho! ho! rozumiem, Jacek plan swój zmienia,
 Domyślny osieł zawoła:
 Widząc że naprzód znaglić mię nie zdoła,
 Chce mnie zmusić do cofnienia.
 Otóż nie zmusi: w téj chwili zobaczy,
 Co to osieł znaczy.
 Rzekłszy to, jakby sparzony ukropem,
 Myśląc że cudów dokona,
 Zrywa się, rusza i przez most galopem
 Leci z Jackiem u ogona.
 Są i wśród ludzi istoty tak dziwne,
 Sprzeczne, przekorne, jakby krnąbrne dzieci;
 Lecz udaj zdanie twojemu przeciwne,
 A osieł przez most poleci.



GWÓZDZ I SZRUBA.

Niezmiernie gwóźdź się zamroczył,
 Gdy raz w desce szrubę zoczył.
 Jak to być może, rzecz, moja luba,
 Ja tak cienki, tyś tak gruba,
 Przecież w brew twojej naturze,
 Więcej działałaś odemnie;
 Właśnie tam siedzisz w tej dziurze,
 Gdziem ja się tłoczył daremnie.
 A ta mu na to: tak to zręczność działa;
 Ty prostą szedłeś drogą, jam się wszrubowała.



KRÓL SCYTÓW.

Czy to prawda, czy zmyślenie,
Nie wiem i próżno nie badam;
Dość żem słyszał to zdarzenie,
A com słyszał, opowiadam.
Raz król Scytów ogromną zdobywszy stolicę,
Kiedy rozległe przejeżdżał ulice,
I razem z mnóstwem swej dziczy
Dziwił się swojej zdobyczy,
Ujrzał, świetnemi otoczon budowy
Jakiegoś króla posąg marmurowy,
A pod nim napis w czystym ryty złocie:
Sławie i cnocie.
Skutkiem jakiegoś szczególnego cudu,
Ta tkliwa wdzięczność, hołd całego ludu,
Ta sława, której wieki nie umniejszą,
Wzruszyły Jego Dzikość Najjaśniejszą.

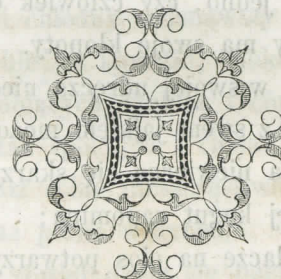
Daje więc rozkaz, by się przed nim stawił
Pierwszy z mędrców téj krainy,
I by mu wszystkie opowiedział czyny,
Któremi król się ten wslawił.
Idzie więc mędrzec, a gdy przed nim stanie,
Tak się doń ozwie: Najjaśniejszy Panie!
Król ten któregoś wielkich dzieł ciekawy,
Był podług dziejów i srogi i krwawy;
Szczególne jakieś miewał przywidzenia:
Całkiem nie lubił ludzkiego plemienia.
Niczem mu były i cnota i sława,
Niczem ludzkie, Boskie prawa;
Wszystko zdeptała jego złość bezbożna;
A tak darł Panie, jak tylko drzeć można.
Stój! stój! zawoła nasz Scyta zdumiały:
Jakże to zgodzić z tym pomnikiem chwały,
Cóż ta sprzeczność znaczy?
A mędrzec na to tak mu się tłumaczy:
Przyczyna tego łatwa do odkrycia,
W dwóch ci ją słowach odsłonię:
Posąg stawiono za życia,
Dzieje pisano po zgonie.



DWAJ ŁYSI.

Dwaj łysi w dobrej przyjaźni i zgodzie,
 Chodzili z sobą po Saskim ogrodzie;
 A że w rozmowach czas słodko upływa,
 O dawnych sobie dziejach powiadali,
 I jak to zwykle w naszej Polsce bywa,
 Na ciężkie czasy lajali.
 Gdy w tém, nieszczęściem, właśnie w owej dobie,
 Kiedy najbardziej poświadczały sobie,
 Jakieś cacko, świecidelko,
 Niby złoto, niby szkiełko,
 Nagle przed niemi
 Błysło na ziemi,
 I jużci klótnia i zwady i boje:
 Puszczaj — nie puszczę — to nie twoje — moje;
 Jak dwa zażarte tygrysy,
 Walczy z łysym łysy.

Aż wreszcie jeden, rzadkim darem losów,
 Na wiekopomny zwycięstwa zadatek,
 Wydarł drugiemu kilku biednych włosów
 Lichy i śmieszny ostatek.
 Wicież o co był ten bój tak potężny:
 Oto o grzebień mosiężny.



Wszystko to jedno, czy człowiek czy kura,
Każdy ma swoje kłopoty.

KURA.

Pierzem, siercią czy szatą okryte istoty —
Na wszystkich cięży ta sama natura, —
Wszystko to jedno, czy człowiek czy kura,
Każdy ma swoje kłopoty.
Człowiek się w swojej udręcza niedoli —
Kura z swem jajkiem mozoli;
On na niewierną się skarży —
O niej kogut zapomina;
On płacze na cios potwarzy —
Ta stare kwoki przeklina;
Śmierć ich nawet równa czeka,
Sprząta kurę i człowieka.

Ale mówmy o kurze. Jedną z nich niebogę,
Podobno w czerwcu, ile pomnieć mogę,
Trafiły jakieś niepojęte smutki,
Jakaś skłonność do dumania,
Kurzego losu zgłębiania,
Nie wiedzieć z jakiej pobudki.

Nie była to żadna boleść ni zgryzota,
Ni żal po zmiennym kogucie,
Lecz raczej jakaś głęboka tęsknota,
Jakieś posępne przecucie.
I właśnie takie jak owej nieboszki —
Kokoszki!

Chcąc więc raz przerwać ów smutek głęboki,
Skrycie pod chłodny wcisnąwszy się murek
Patrzyła sobie na igraszki, skoki,
Dziobiących synków i córek.
Ale kiedy tak spokojna i cicha,
Siedzi sobie nieszczęśliwa,
I raz poraz wzdycha,
Ni ztąd ni zowąd nagle się porywa,
I do góry w jedną stronę
Trzymając oczy wlepione,
Jakby wielkim strachem zdjęta,
Cofa się, kwoczy, umyka,
I do kurnika
Zapędza swoje kurczęta.
Koguty co w tym przestraszu
Widziały ją z dachu,

Zadumione tą jej trwogą,
 Pojąć nie mogą.
 Patrzą i patrzą po niebie,
 Nareście mówią do siebie:
 Co się to stało tej kurze,
 Co ona widzi tam w górze!
 Kwoczy, kwoczy jak w malignie;
 Przecież i my oczy mamy,
 Jak możemy, wytrzeszczamy,
 A nic nam się ani mignie.
 Ale kiedy tak i mówią i szydzą,
 Nagle w górze widzą
 Jakiś punkt czarny, ale tak wysoko,
 Że go zaledwie dostrzedz mogło oko.
 Punkt ów po chwili niby widoczniejszy,
 Niby coś większy, czarniejszy,
 Jak muszka, pszczołka, motyl bujający,
 Gdzieś tam pod Niebem krążący.
 A gdy tak ciągle zwiększa się co chwila,
 Patrzą, aż z owej pszczołki i motyla,
 Z owego punktu, co był okiem niedosiężny,
 Zrobił się jastrząb potężny.

Krzyk więc i hałas, pełno wrzawy, strachu,
 Jak grad lecą z dachu;
 Każdy zmyka
 Do kurnika,
 Ale już jastrząb prześcignął je w pędzie,
 Żaden się przed nim nie schronił,
 Dobrze zmykały, lecz on lepiej gonił;
 Wszystkie wydusił na grzędzie.
 Gdzie idzie o dziatki,
 Czegoż tam oko nie dostrzeże matki.



ZEBRA.

Pomiędzy liczną obcych zwierząt rzeszą,
Które tłumami do Warszawy spieszą,
Raz ktoś na Grzybów zebra przyprowadził.
Natychmiast tłum się niezmierny zgromadził.

Wszyscy patrzą zadziwieni,
Dziwią się osły, dziwią i uczeni;
Z wszystkich stron razem wzniosł się odgłos liczny:
Cóż to za rumak prześliczny!

Rumak? — zakrzyknie jakiś konik kary,
Tęgi Sarmata, nawet wojak stary,
Co niegdyś dzielnie nasze wrogi zmiatał.
Któż mnie to będzie z tém straszylłem bratał?
Czyż mu dla tego pochwały sypiecie,
Że tam gdzieś w obcych urodził się stronach?
On ma być koniem? przypatrzcie się przecie:
Wszakże to osiel w galonach.



KOT I SZCZUR STARY.

(z Lafontena.)

Zaden kot w świecie nie sływał z dobroci,
Lecz wszystkie przeszedł w złości pewien Matys bury,
Jakiś rzeźnik, Atylla, jakiś Herod koci,

Istny bicz Boży na szczury.
Wszystko się przed nim na pół mili kryło,
W najgłębszej drżano zaciszy;
I jakby niedość na szczurach mu było,
Uwziął się jeszcze świat wyludnić z myszy.
Nigdy o takim łotrze nie słyszały
W żadnym myszym dziejopisie;
Co tylko łapek, siodeł, trucizn znały,
Niczem były przy Matysie.

Raz więc wśród nocy, gdy mu głód dopiekał,
I już oddawna próżno czyhał, czekał,
Myszki się kryły w swych dziurach,
Zaczął zdechłego udawać przed niemi;

Gdzieś się tam w górze na wiszących sznurach,
Zawiesił łapy tylnemi.

Myszki za ledwie dają oczom wiarę,
Myśla że musiał kogoś tam podrapać,
Jakieś kurczątko lub też serek złapać,

I że wreszcie przebrał miarę;

Przyszła kryska

Na Matyska,

I oto dynda za karę.

Cieszą się wzajem i mówią do siebie:

Będziemyż skakać na kocim pogrzebie!

Wietrzą więc naprzód, wyścibiają główki,

I znów się w swoje chowają kryjówki;

To znów wysuną, to postąpią trochę,

To na koniec śmiało, płocze,

Drobnemi sypią się kroki,

I nuż hulanka i skoki!

Kiedy w tem inne rozpoczyna się susy,

Nasz wisielec zmartwychwstaje,

Na głupią rzuca się zgraje,

I spaszle dusi nygusy.

Nie na tym koniec. Mam ja sztuk tych krocie.

Tak do uciekłych myszy zdala powie:

Jeszcze wam figle nie znane są kocie;

Wszystkie do jednej wyłowię.

I w istocie krótko trwało —

A jak przyrzekł tak się stało.

Ledwie pierwszy wieczór szarzał,

Cały w mące się wytarzał,

Zwinał w kłębek i tak leżał.

Głupi lud myszy prosto na śmierć bieżał.

Gdy w tém szczur pewien słynny z sprytną głową,

Zwąchał podstęp nowy.

Był to frant stary, gracz i sztukmistrz znany,

Wreszcie wojak zawołany,

Co nie raz tego kotom się odplacił,

A nawet ogon w batalii stracił.

Ta biała kupa zbyt mi podejrzana —

Tak do kociego ozwie się Szatana:

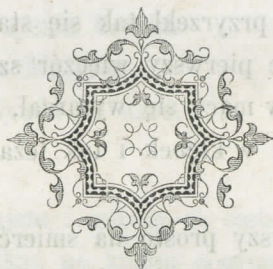
Bądź jak chcesz mąką: żadnym ja pozorem

Nie dam uwieść siebie;

Bo choćbyś nawet i całym był worem,

Nie pójdę ja tam do ciebie.

Strzeżmy się w zbytniej przesadzać wierze,
 Nie każdy godzien ufności;
 Strzeżonego Pan Bóg strzeże,
 Roztropność matką pewności.



ROPUCHA.

Rozważ wprzód dobrze z kim się chcesz mierzyć.
 Sproсна ropucha wzdęta i nabrzmiała,
 Z bagniska jadem pryskała.
 Jaś ją chciał kijem uderzyć.
 Gdy w tem: stój chłopcze — krzyknie ojciec stary —
 Na co ci głupio się kazić?
 Aby dosiądź tej poczwary,
 Trzebaby w błoto jej wlać.



POJAZD I MUCHA.

Sześć koni w ciężkiej idących landarze,
W piasku, pod górę i w ogromnym skwarze,
Potem i pianą okryte,
Stały naraz jak wryte.

Skoczył z tłomoka Grzegorz, hajduk stary,
Wyszli wręście i z landary,
Zśród licznych pudeł, paczek, zawiniątek,
Jejmość, Jegomość i mędel paniątek.

Krzyczał i wołał Grzegorz zadyszany:
Jak mógł biedny, pchał, pomagał,
Wach przeklinał, biczem smagał,
Konie jak stały, tak stały.

Kiedy w tem nagle z boku pędzi mucha;
I nuż im brzęczyć i dodawać ducha:
Raz po raz, po łbie, słabiznie,
Tego kolnie, tego liźnie.

Lata i lata — a laje i trzepie:
Nie skaranież jest to Nieba,
Wszystko za nich robić trzeba;
Pan fajkę pali, Jejmość pacierz klepie,
Tam znów śpiewają panienki,
Właśnie jak gdyby szło tu o piosenki!

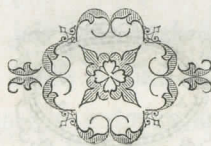
Męczy się, męczy,
Pędzi i brzęczy.
A gdy nareście już rusza kareta,
Siada na koźle, na nosie stangreta,
I sama sobie za tak wielką sprawę,
Trąbi na sławę.

Zdarza się człowiek przekonany w duszy,
Ze nic się w świecie bez niego nie ruszy;
W każdą więc sprawę wmiesza się i wtrąci,
Wszystkim chce dodawać ducha.
Zwija się, szasta, a brózdzi i mąci:
Nasza to mucha.



SZCZUR CHORY.

Pewien szczur na śmiertelną już leżał pościeli,
 A więc już go odwiedzać mnóstwo przyjacieli;
 Coraz i coraz większa pomnaża się rzesza,
 Ten radzi, ten żałuje, a każdy pociesza.
 Próżno prosi i błaga ich o pokój święty;
 Liczniesze jeszcze pędzą cieszyć go natręty.
 Aż wreszcie wszyscy w jednej wynoszą się nocy,
 I on też wkrótce z swojej powstaje niemocy.
 Lecz jakże nagle czarna rozpacz go ogarnie:
 Pocieszyciele całą wyjedli spiżarnię.
 I tak smutna ofiara strasznego zawodu
 Wydobrzawszy z choroby, musiał umrzeć z głodu.

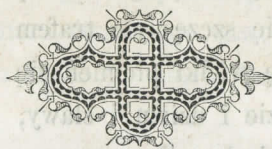


DMUCHACZKA I WĘGIEL.

Z trzaskiem węgielek z kominka skoczył,
 I ku wiórom się potoczył;
 Czuł biedaczek, że gasł, marniał,
 Wielki więc go żal ogarniał;
 Gdy w tej właśnie samej dobie,
 Dmuchaczkę ujrzał przy sobie.
 Przyszedł tu, rzecz, ku twojej potrzebie,
 By cię od zgonu ocalić,
 Pozwól mi tylko dmuchać na ciebie,
 Dawnym cię ogniem zapalić.
 A jeśli ci się szczęsnym trafem zdarzy,
 Że przez cię wielki płomień się rozżarzy —
 Ileż to będzie i dziwu i sławy,
 Ile blasku, ile wrzawy.
 W tym tak szczytnym żarze, dymie,
 Wielkie sobie zrobisz imię;
 Będiesz wszędzie głośny, znany,
 I w gazetach drukowany!

Słyszac to węgiel iskrzy się, promieni,
 Błyśnie, dumą rozplomieni,
 A wciąż butnego dodając mu ducha,
 Dmuchaczka dmucha i dmucha.
 Wybuchł też nagle ogień wydmuchany:
 Zajął się wiórek, po nim belki, ściany,
 Huczał, wrzał pożar nad wyniosłym dachem
 Jakby piekielna nawała,
 Aż wszystko z całym zwały się gmachem,
 Dmuchaczka nawet zgorzała.

Godne wzgard świata i złoczyńców taczki,
 Największych może nieszczęść winowajce,
 Krajowych niezgód pokątne dmuchaczki,
 Was to skryśliłem w tej bajce.



ŻYD I OSIEL.

Miał raz żyd osła, którego tak zgłodził,
 Że już ledwie chodził;
 Aż litość brała, serce się krajało,
 Patrząc co z owem oślatkiem się stało:
 Z całej mu dawnej piękności,
 Zostały tylko i skóra i kości.
 Wsiadł on nań przecież, aby w dzień targowy
 Skręcić jakiś szacher nowy.
 Lecz go próżno nęka, zmusza,
 Osieł się z miejsca nie rusza;
 Wali piętą, kijem łoi,
 Osieł jak stanął, tak stoi.

Innego może rozpaczby uniosła,
 Zrzekłby się pewno i targu i osła,
 Ale od czegoż główka kajma?
 By złamać, przeprzeć osła upór dziki,

Bierze więc siana, czepia w końcu tyki,
I tak zdala przed nim trzyma.

Osiel nasz chciwe wytrzeszczając oczy,
Chciałby się siankiem posycić,
Sięga więc, sięga, a nie mogąc schwycić,
Zwolna za nim kroczy.

Kroczy i nogę za nogą stawia,
I zawsze próżno głodny pysk rozdziawia;
A żyd tymczasem jak jedzie, tak jedzie,
I głupiego osła wiedzie,
I póty wiedzie i bije i siecze,
Aż się z tryumfem na ów targ dowlecze.

Tak to ku świata ohydzie,
Zwodzą się ludzie i narody zwodzą,
Nęca je, wabia, głupich za nos wodzą,
A osielek idzie



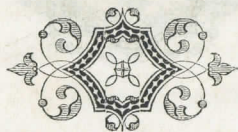
SZYNA ŻELAZA.

Szyna żelaza w ogniu rozgorzała,
Tak pod młotem narzekala:
Kiedyż się tego tyrana pozbędę,
I dopókiż znosić będę
Takie i ciosy i męki!
Ale próżne, skargi, jęki,
Póty ją bito, tłuczono,
Aż ją na młot przerobiono.
Zapytasz mię zapewne co robiła potem?
Z wszystkich młotów najsroższym była dla szyn młotem.



MŁODY DĄB.

W pośród dębów zwalonych przez wichę straszliwą,
 Wznosił się młody dąbek, rosły ale krzywy;
 Zaledwie kilka nędznych gałęzi rozwodził,
 I cudem chyba kiedy jaką żołądz zrodził.
 Lecz że to nie nowiną na tym świecie bywa,
 Że i w kłocu niezgrabnym duma się odzywa,
 Gromom więc czoło swoje stawia z urąganiem,
 Orla nawet przyzywa, aby zasiadł na niem.
 Lecz orzeł tak mu rzecze: nędzny szczątku lasów,
 Duma twoja pochodzi z smutnej zmiany czasów —
 Upadły pierwsze dęby, ztąd się pierwszym mniemasz,
 I dla tegoś jest wielkim, że już wielkich nie masz.



SURDUT.

Miał pewien biedak coś na kształt sukmany,
 Jakiś surdut kusy, bury,
 Lecz już dobrze podsztastany,
 I na obu łokciach dziury.
 Wstydno było patrzeć na nie,
 Zwłaszcza zimno niesłychanie,
 Bo mu wiatr przez nie zalatał;
 A więc wziął się do naprawy:
 Na stopę obciął rękawy,
 I łokcie niemi zalatał.

Wyszedł kontent z wynalazku.
 Aż tu zewsząd pełno wrzasku,
 Wszyscy się dziwią, dumieją,
 Z kusych rękawów się śmieją.
 I nuż w drwinki i zaczepki,
 Że mu piątej braknie klepki.

Nie braknie! biedak zawoła —
 I konceptem nowym ruszył:
 Obciął swe poły do koła,
 I dwa rękawy z nich uszył.
 Lecz gdy tak zawsze naprawiał,
 Tu obcinał, tam nadstawiał,
 A wciąż kładłłaty nałaty,
 Skończył jak wszystkie kończą obdartusy.
 Spencer mu tylko z całej został szaty,
 I do tego bardzo kusy.

Tak gdy niejeden traci włos po włosi,
 I straszny pizus koło Jegomości,
 Równie się próżno i krząta i znoi.
 Szczęśliwy, jeżeli za te prace, trudy,
 Jakiś mu się tam kapitalik chudy
 Na biedną starość okroi.



SPEKULANT.

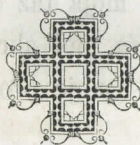
Pewien spekulant zmyślny, zagorzały,
 Swoje i cudze zjadłszy kapitały,
 Nowe, olbrzymie zaczął roić plany;
 Gdy w tem zajrzał w kątek ściany,
 Gdzie właśnie pajak siatkę swą rozstawił,
 I muszki chwytal i dławil.
 Cóż to za podstęp! rzekł pelen zgorszenia —
 Glupiutkie łapać stworzenia,
 Męczyć, dusić tak szkaradnie!
 A pajak na to: może to nie ładnie,
 Przecież tej co ty szukam ja korzyści,
 I zręczność moja też sama;
 Muchy — są moi akcyoniści,
 A siatka — moje programa.



WĘDKA.

Zrobiwszy wędkę z prętka i nici,
Jaś najpewniejszy że karpia schwyci,
Wziął się do dzieła.
Jakoż po chwili wędka zadrgnęła:
Ciągnie prętkiem, ciągnie nitką.
Cóż wyłowil? żabę brzydką.

Tak nie jednemu zdarza się śmieszkowi:
Sięga po dowcip a głupstwo wyлови.



ŚWIĄTYNIA SZCZĘŚCIA.

Równie jak inne Bogi i Boginie,
Szczęście ma swoją świątynię;
Lecz się od innych różni jój budowa.
Wyniosłym szczytem nie sięga obłoków,
Okropnych świata nie głosi wyroków,
W cichem ustroniu się chowa.

Zaledwie ludzie wieść o niej powzięli,
Przez przepaści niedostępne,
Przez góry, skały i lasy posępne,
Hurmem się do niej cisnęli.

Potężny mocarz wśród żądz niespokojnych,
Co się krwią ludów nieszczęśliwych zmasał,
Przybył najpierwszy z milionem zbrojnych
Szturmem ją dobyć rozkazał.

Ale potężne mocarza oręż
 Jakaś nieznana moc nagle odpiera,
 Poznał że nigdy szczęścia nie dosięże
 Ten, co je innym wydziera.

Z głębi swych gmachów z niezmiernym pospiechem
 Dąży tuż za nim Krezus znakomity;
 I zdala swoje wywodząc zaszczyty,
 Zbliża się do niej z uśmiechem.
 Chce złotym kluczem otworzyć świątynię:
 Wciska go, kręci, coraz silniej wtłacza,
 Gdy w tem na twardej pękając sprężynie,
 Kruszy się w rękę bogacza.

Taż samą drogą i w tęż samą stronę,
 Gdzie już tyle śladów było,
 Sercem i młodą ufnością wiedzione,
 Dwoje kochanków dążyło.
 O jakże pewni swego szczęścia byli!
 Cóż, gdy w pół drogi zbłądzili.
 Gdzie spojrzą same zawady,
 Groźne skały i urwiska;
 Wśród przepaści droga śliska,
 I zbłąkanych ofiar ślady.

Tyle wręście smutnych zdarzeń
 Spotykali po kolei,
 Tyle rozproszonych marzeń,
 Tyle rozbitych nadziei,
 Iż z cięzką serca żalobą,
 Wrócili płacząc nad sobą.

Długo i długo te pielgrzymki trwały,
 Zawsze ktoś nowy przybywał,
 To się filozof, to głupiec zuchwał,
 Do drzwi świątyni dobywał.
 Z starym się wiekiem prześcigał wiek młody,
 Dziecie co ledwie umie się spodziewać,
 A nawet wieszcz co swojemi ody,
 Chciały się szczęścia dośpiwać.
 Lecz wszystkich jedna trzymała zawada,
 Żadne jej siły nie zmoły,
 Ni łzy, ni prośby, ni przemoc, ni zdrada,
 Świątyni zdobyć nie mogły.
 Aż kiedy całe odeszło już grono,
 Zbliżył się człowiek chęci dobroczynnych;
 Przybył upraszać o szczęście dla innych —
 I po prostu go wpuszczono.



OSIEŁ, MAŁPA I KRET.

Gorzko raz osieł narzekał na Bogów,
 Że wprowadzie pięknie stworzony,
 Lecz że do obrony
 Nie dały mu rogów.
 Że go ztąd każdy i dręczy,
 I męczy,
 Kijem, jukami okłada,
 Słowem, jak na osła wsiada.
 Oj! gdybym kiedy dostał je w podziale —
 W strasliwym ryknął zapale,
 Dopierożbym to przy moim rozumie,
 Pokazał światu, co to osieł umie.
 Z drugiej strony w cieniu krzaczka,
 Siedziała małpa zmartwiona,

I płakała nieboraczka,
 Że jej nie dano ogona.
 I cóż ja pocznę, biedna, nieszczęśliwa
 Tak się w swym żalu odzywaję
 Ja skrzywdzona tak niegodnie!
 Ni sobie wstydu oszczędzić,
 Ni się czem muchom opędzić,
 Ni nawet usiąść wygodnie.
 A wręście jakże nie mruczeć na losy,
 Na te okrutne Niebiosy,
 Widząc ogonów tak wiele!
 Samaż go tylko mam wzywać daremnie?
 W czymże ta owca, lub to głupie ciele,
 W czymże są lepsze odemnie?

Słyszą to inne i małpy i osły,
 I nuż za niemi i w szlochy i w płacze,
 Okropne ryki się wzniosły,
 Straszne lamenty, rozpacz.
 Gdy się w tem nagle ich głupstwem znudziwszy,
 Gdzieś tam kret ślepy krzyknął na uboczu:
 Ciszej bluźnierce! któż z nas nieszczęśliwszy —
 Wy bez rogów, ogonów, czy też ja bez oczu!

Jakżeby często powtarzać to trzeba,
Co nam ta bajka wymienia:
Nim o twe losy będziesz skarżył Nieba,
Spojrzyj na bliźnich cierpienia.

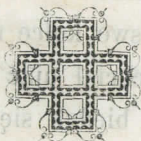


JEŻ I CHŁOPCY.

Leżąc pod krzaczkiem Jeż w kłębek zwinięty,
Wszystkie swe kolce nadstawił;
Staś go swojemi chciał ująć rączęty,
I strasznie biedak się skrwawił.
Nie tak go chwycić należy —
Dowcipny Stefuś mu powie:
Jest inny sposób na Jeży,
I zaraz twego tak zловіę.
Rzekłszy to, kilka jablek rumianych,
Świeżo co z drzewa zerwanych,
W bliskości Jeża położył.
Jeż się z razu patrzył boczkiem,
Chciwem na nie strzelał oczkiem,
Ale się wahał i trwożył.

Kiedy w tem nagle zrywa się z pod krzaczka,
Do smacznych bieży jabłuszek,
A ten mu rączkę wsuwa pod brzuszek,
I tak chwyta nieboraczka.

Walcz jak chcesz z ludźmi pewnemi,
Zwycięztwem się nie poszczycisz;
Ale wszystko zrobisz z niemi,
Gdy ich za brzuszek podchwycisz.

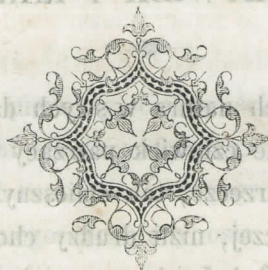


KOT I MYSZKA.

Onego czasu pewna myszka mała,
Wyszedłszy sobie pod nocy zasloną,
Nieszczęsnym trafem kota napotkała,
I już miała być zjedzoną.
A więc krzyczy niesłychanie:
Stój, stój dlaboga, zatrzymaj się Panie!
Czyś ty nie jest owym kotem,
Co się Łapimyszką zowie?
Tak jest, kot rzecze, lecz z kądże wiesz o tem?
A ta mu na to odpowie:
Przypomnij sobie jak odziś tydzień trzeci,
Wpadłeś tam w jakieś zastawione sieci,
Jakeś płakał i narzekał,
I już pewnej śmierci czekał;

Gdy cię mysz jedna już wiekiem pochyła,
 Z tej niedoli wybawiła
 Widzę ja Panie, że jej pamięć tkliwa,
 Dotąd cię jeszcze rozczula;
 Otóż to, otoż ta mysz litościwa,
 Była to moja matula.
 Zmarła, lecz tyś jej przy śmiertelnych śmieciach,
 Przrzekł tę litość odplacić na dzieciach —
 Daleś słowo kocie.
 Ach tak jest, rzeczy z łzami, przysiągłem w istocie
 Nie tylko sam was oszczędzać;
 Ale i drugie koty gryźć, odpędzać —
 Wszelkie odpychać napaście.
 Lecz powiedz mi moja miła,
 Ileż twa matka dziątek zostawiła?
 Myszka mu na to: — dwanaście.
 Dwanaście! kot zawoła, o lube istoty!
 Biedne myszeczki! niewinne sieroty!
 Jakże im przykro być musi bez matki!
 Wszystkie przybieram za me własne dziatki.
 Zwołaj je, zwołaj, niechaj je zobaczą;
 I z tą przybraną poznam się rodziną.
 Biegnie mysz nasza i z radości skacze,
 Pędzi jak gdyby z najlepszą nowiną;

Wola na wszystkie siostrzyczki, braciszki;
 Lecą głupie myszki.
 Gdy w tem kot zdrajca nagle na nie wpada,
 I zamiast jednej cały tuzin zjada.



CZŁOWIEK I RAK.

Nie dla wszystkich natura w swych darach jednaka.
 Dziwił się strasznie człowiek patrzący na raka.
 Jakże się można, rzecz, tak śmiesznym urodzić,
 By koniecznie inaczej, niżli drudzy chodzić.
 Cofać się całe życie! Jestże tu w tej głowie
 Chociaż trochę rozsądku? — Prawda, rak odpowie:
 Lecz któż wie, gdy się obaj osądzimy szczerze,
 Czybyś ty sam nie zyskał, ty tak światłe zwierze,
 Coś może wiele dociekl, lecz więcej porzucił,
 Gdybyś idąc mym śladem, czasem wstecz się zwrócił.



DWÓR LWA.

Sultan, Lew pierwszy, ciekawością zdjęty,
 Jakiemi włada zwierzęty,
 Wydał rozkaz z Lwiegogrodu,
 Przez nadwornego otrąbiony osła,
 By z każdego zwierząt rodu
 Przysłano mu posła.
 Bóg wie, co w swoim przyrzekał firmanie:
 Naprzód potężnej łapy całowanie,
 Po niem bankiety, laski, względy swoje,
 Przez cały miesiąc otwarte pokoje,
 Wreście by dowiódł, jak ceni wysoko
 Mile mu zewsząd posłańce,
 Każe, by przez swe i skoki i tańce,
 Wslawiony bawił je Żoko.
 Spieszą więc pełni radości, nadziei,
 Posłowie różnych i borów i kniei.

Do Lwiegogrodu przychodzą.
 Ale zaledwie staną w progach pańskich,
 Jakże się strasznie zawodzą!
 Na miejscu komnat sultańskich
 Cóż widzą? jamę pełną nieczystości,
 Mnóstwo trupów, mnóstwo kości;
 Straszny je fetor zalata.
 Skrzywił się niedźwiedź, głupi prostak lasów —
 Sultan podobnych nie cierpiał grymasów,
 I udusił deputata.
 Słusznie! zbyt słusznie! malpa się odzywa,
 Równie z pochlebstwa jak strachu;
 I nuż o wielkim, cudownym zapachu,
 Który się zewsząd rozplywa.
 Czemże, zawola, są wszystkie kadzidla,
 Wszystkie kwiaty i pachnidła,
 Przy tej woni twego dworu,
 Któraśmy wszyscy uczuli!
 Ale nasz sultan dziwnego humoru,
 Jakiś krewniak Kaliguli,
 Równie pochlebstwa jak prawdy nie lubił,
 I drugiego posła ubił.
 A wy co na to? panie deputacie!
 Rzecz do lisa — jakże Waszmość twierdzi?

Powiedz co w mojej uczuleś komnacie:
 Czyli tu pachnie, czy śmierdzi?
 Lis na to: Panie, jako sługa wierny,
 Szczera, najszczerzą prawdąbym wyjawil,
 Ale mam katar niezmierny,
 Który mię węchu pozbawil.

Chcesz żyć na dworze z ręcznie się układaj,
 Zbytecznych pochlebstw, ostrych prawd nie gadaj;
 Tam gdzie na jednym włosku los twój wisi,
 Z wszystkich rozumów najlepszy jest lisi.



DWA ZAJĄCE.

Długą chartów gonitwą strudzone niezmiernie
Dwa zające przed śmiercią schroniły się w ciernie.
Zrazu cicho siedziały, lecz po krótkiej dobie,
Zaczął się młodszy kręcić i wyrzekać sobie,
Że jeszcze w takim piekle w swem życiu nie siedział.
Nie przesadzaj młodziku, starszy odpowiedział —
Lepiej zawsze pod cierniem niżeli w pogoni;
Prawda że trochę kole, ale życia broni.



KACZKA I PISKORZ.

Najżarłoczniejsza z wszystkich w świecie kaczek,
Nagle piskorza spotkała w upuście;

Co za wyborny przysmaczek!

Jak spory, tłusty, właśnie w kaczym guście!
A więc nad wszystkie nadzieje szczęśliwa,
Naprzód z nim igra, drażni go i nęci,
To chwyta, puszcza, to znowu porywa,
Ci szy się, gdacze, i ogonkiem kręci;
Aż wreszcie równie żarłoczna jak dzika,

Całego na raz polyka.

Ale zaledwie że został połknięty,
Scena ta stokroć śmieszniejszą się staje;
Piskorz z natury i śliski i kręty,
Nagle w kaczce zmartwychwstaje,

I nim się biedna spostrzega,
 Już ją na wylot przebiega.
 Cóż to jest? krzyknie, i stawa jak wryta —
 Czym go polknęła, czy mi się też marzy?
 Więc przez ciekawość drugi raz go chwyta.
 Lecz i tą razą, nie lepiej się darzy:
 Zaledwie że go porwała,
 Już ją przeleciał jak strzala.
 Z strasznym więc gniewem ku niemu przybieży:
 Depce go, dziobie po łbie, po ogonie,
 Lecz zaledwie że go schłonie,
 Jużci za nią leży.
 Kaczka choć kaczka ledwie nie głupieje,
 Pojąć nie może, co się to z nią dzieje.
 Kiedy w tem zdala pewien kaczor buri,
 Co się tej scenie przypatrywał z góry,
 Tak jej swe zdanie otworzy:
 Nie masz talentu zjadania piskorzy —
 Tak go strawić niepodobna —
 Nigdy ci się nieposzczęści:
 Lecz go przetnij na trzy części,
 I każdą polknij z osobna.
 Co za dowcip! kaczka rzekła
 I jak kazał tak rozsiekla.

Strawił się luby przysmaczek,
 Piskorz już się nie odrodził;
 A nasz kaczor w pośród kaczek
 Za wielki rozum uchodził.



Jakiś to noszek małańki!
 I wola wznosić głos drżący i cienki:
 Przyskaki się, kachłach chłopcy
 Spojrzali się stego Oczesnik na Szym;
 Co za nos ogromny!
 Kiedy w tem nagle zawola:
 Patrzy i graczów obchodzi do kola;
 Chłopiec ów krzacz cichy i skromny,
 Spojrzali się stego Oczesnik na Szym;

ZDARZENIE Z NOSEM.

Dykteryjka staropolska.

Stał za stolikiem synek Cześnika,
Gdzie kilku Panów grało z sobą ćwika;
A między niemi krótki i pękaty,
Jakiś szlachetka dziwnej facyaty:
Z krzywą bródką, rudym włosem,
I nadzwyczaj wielkim nosem.

Chłopiec ów zrazu cichy i skromny,
Patrzy i graczków obchodzi do kola;
Kiedy w tem nagle zawoła:
Co za nos ogromny!

Spojrzał się srogo Cześnik na Syna;
Przełękł się, zadrżał chłopczyną.
I woła wznosząc głos drżący i cienki:
Jakiż to nosek maleńki!

Już też naówczas jakby zjadła osa
Zrywa się Cześnik i za bat porywa,
A chłopiec z wielkim krzykiem się odzywa:
Ten Pan nie ma nosa!

Bije więc Cześnik, w całym bije gniewie,
Zda się, że chłopca chce dobić,
A biedne dziecko w swej rozpaczynie wie,
Co z tym nosem zrobić;
W różny więc sposób i woła i krzyczy,
A gniewny ojciec coraz gorzej ćwyczy.

Tak i my co to lubimy rozprawiać,
Kiedy się z głupstwem wyrwiemy,
Chcemy się niby, ratować, poprawiać,
A wciąż gorzej brniemy.



STAL I KRZEMIEŃ.

Tyżeś to źródło klęsk i nieszczęść wiecznych —
 Tak stal na krzemień powstanie —
 Tyżeś to mały wulkanie,
 Pelen iskier niebezpiecznych.
 Ogień ukryty w twem łonie
 Całe wioski, miasta chłonie.
 Najstalszej grozisz budowie,
 Najsroższy żywioł rozszerzasz. —
 Prawda jest, krzemień odpowie:
 Ale czemuż mię uderzasz?

Ta odpowiedź śmiała
 Ilużby ludom przystała.



KUBEK I KOSTKI.

Tłukąc się biedne kości godzin kilkanaście,
 Cieszyły się niezmiernie gdy padło — dwanaście.
 I cóż wam z tego przyjdzie? — kubek się odzywa:
 Wy się głupie tłuczecie, a sam gracz wygrywa.



WYBÓR ŻONY.

Sławetny Bartosz gdzieś tam w małym mieście,
W średnim już wieku i na pół siwawy,

Lecz jeszcze czerstwy i żwawy,
Chciał się ożenić nareście.

Miał on swój domek na rynku,
Kawał roli, sklep do szynku,

Przytem grosz obfity,
Więc na męża wyśmienity.

Szukał małżonki, a że, jak to bywa,
Nigdy na takim towarze nie zbywa,
W bliskości siebie, bez łamania głowy,

Wynalazł sobie dwie wdowy.
Jedna z nich była młoda, czuła, rzewna,
Druga dojrzała, lecz na żonę pewna;
Trudny więc wybór i wielkie kłopoty....
Gdy nasze wdówki z przymiloną minką,

Ciągle się niby z żartu i pustoty,
Bawiły z jego czuprynką.

Młodsza go chciała mieć młodszym, nadobnym,
A starsza więcej do siebie podobnym;
Wciąż mu więc z głowy włos po włosie rwały,
Jedna czarny, druga biały.

Aż go nakoniec ten żart tak zesześcił,
Że głupią głową jakby dynią świecił.

Ho! ho! tak z gniewnym ozwie się zapalem:

Jeszcze bez żony, a już wyłysiałem,

Cóż będzie gdy się ożenię?

Nie, nie bądź dudkiem Bartoszu.

Bądźcie mi zdrowe, kłaniam uniżenie.

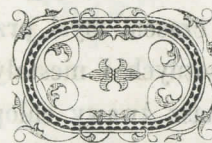
Baby zostawił na koszu.



SŁOWIK I KRÓLEWIC.

Wśród wdzięcznej wiosny, w najpiękniejszym maju,
 Młodziuchny Książę wraz z swoim mentorem
 Przechadzał się w gaju.
 Rzadko natura takim wdzięków zbiorem
 Jedno ustronie okrywa;
 Przecież, jak to zwykle bywa,
 Wszystko nudziło Księcia Jegomości —
 Taka to korzyść wielkości.
 Kiedy w tem nagle słyzy głos słowika;
 Nieznana dotąd radość go przenika,
 A choć dziecięciem,
 Że jest Książęciem,
 Już mniema, że wszystko może.
 Złapię go, wola, i do klatki włożę.
 Lecz słowik takich nie lubi igraszek;
 I gdy on niebacznie,
 Zbliżyć się zacznie,
 Zerwie się ptaszek.

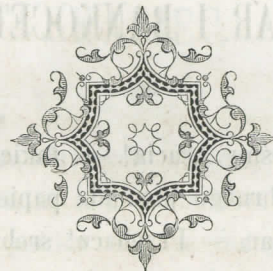
Skądże to, rzeczce, rozżalone dziecko —
 Ta niesłuszność w świecie,
 Że ta ptaszyna tak dobra i czuła
 W tych się lasach tuła;
 A na naszym pałacu tyle wróbli siada?
 A mentor na to tak mu odpowiada:
 Masz w tem przestrozę, byś widział z daleka,
 Co cię kiedyś na tronie ojca twego czeka:
 Że podłość do drzwi twoich nie przestanie stukać,
 Zasługa się zaś kryje i trzeba jej szukać.



SZKLANKA.

Pewien chłopyszek w dzień swoich urodzin
Dostał szklankę na wiązanie.
Cieszył się więc niesłychanie,
I przez kilka bawił godzin.
Ale że dziwna czasem myśl przeleci
Przez głowę psotnych i niestałych dzieci,
Tak i nasz żwawy chłopyszek,
Chciał z szklanki zrobić kieliszek;
I pewien że to przez duszenie działa,
Dusił i dusił aby mu zmalą.
Próżno się matka i gniewa i zżyma,
Woła że szklanka tego nie wytrzyma;
Chłopczyk nie słucha i wciąż mocniej ciśnie:
Gdy w tem szklanka pryśnie:
W liczne się części rozpadnie,
I chłopca krwawi szkaradnie.

Jeśliś zbyt ciężył ludowi biednemu,
I twój go ucisk do wybuchu zmusił,
Biada, biada zduszonemu,
Biada i temu co zdusił.



TALAR I BANKOCETEL.

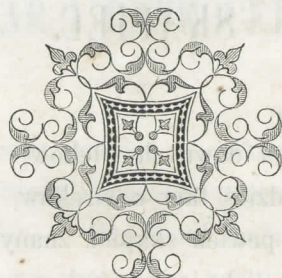
Nie prawdaż, żeśmy bracia! — takimi raz słowy
Ozwał się do srebrnego pieniądz papierowy —
Ja talar, i ty talar. — Przebacz! srebrny rzeczce:
Że zupełnie naszemu braterstwu zaprzeczę;
Moja wartość istotna, twoja pożyczana,
Mnie czysty zrodził kruszec, tyś powstał z galgana.



SKĄPIEC.

Za dawnych wieków,
Gdzieś tam u Greków,
Umarł pewien skąpiec znany,
Kutwa, lichwiarz zawołany.
Gdy więc zwykłym rzeczy biegiem,
Staął po nad Styxu brzegiem,
I Charon z łódką zawinął —
Skąpiec wśród wielkiej obawy,
By nie płacił od przeprawy,
Wskoczył w rzekę i przepłynął.
Rozgniewany Minos stary,
Chcąc najsroższej użyć kary,
Coby skąpcowi dopiekła
Gorzej, niż sam ogień piekła,

Kazał go za Styx wysadzić,
I na ziemię odprowadzić;
By widział jak jego zbiory,
Młode trwonią sukcesory.



WOŁY.

Spojrząwszy na swój zagon szkaradnie zorany,
Katował biedne woły Bartek rozgniewany.
I cóż my temu winne? tak z nich jeden rzeczce:
Nadtoś nas bił i szarpał okrutny człowiecze;
Gdybyś zręczniejsz kierować umiał wolki twemi,
I zagon byłby lepszym i my mniej bitemi.



UTONIONA.

Raz pewna Jejmość z głośnych klótni znana,
 Babą sekutem, babą samcem zwana,
 Po długiej i żwawej sprzeczce,
 Kąpiąc się w bliskiej utonęła rzeczce.
 Mąż jej, co w wiecznej z nią się ścierał wojnie,
 Lecz jak pocziwiec, zawsze ustępował;
 Chciał ją pochować przystojnie,
 I, chociaż djabła, żałował.
 Na wzdłuż więc całe obchodził nadbrzeże
 Patrząc, czyli gdzie żony niepostrzeże;
 Dwóch przechodniów pytał, badał,
 Ale jej żaden nie zoczył.
 Idź niżej z wodą, jeden mu powiadał,
 Może prąd ją na dół stoczył.
 Nie, nie, rzekł drugi, idź raczej pod górę,
 Gdyż pewno w swojej przygodzie,
 Przez upór, sprzeczną naturę,
 Popłynęła przeciw wodzie.

Żart to był tylko, lecz mówiąc otwarcie,
 Była i prawda w tym żarcie;
 Bo kiedy licho taką jędzę nada,
 Już się z maleńką klóci i ujada.
 Klóci się zawsze i wszędzie,
 Do zgonu klócić się będzie;
 I gdyby jeszcze jaka możność była,
 Po śmierciby się klóciła.



DWA BYKI I ŻABY.

Sądząc że ich swoboda nigdy nie przeminie,
Skakały sobie żaby po pięknej dolinie;
Miały słońce i wiosnę, traw i wody hojnie,
Wszystko je radowało, bo żyły spokojnie.
Gdy nagle dwa potężne buhaje przypadły,
O pstrokata jałówkę tocząc bój zajadły.
Ziemia drżała pod niemi, tak się starły srodze;
Sądziłbyś że Farsalskie spotkały się wodze,
Że patrzysz na okropne dwóch Alcydów boje,
Lub że druga Helena drugą gubi Troję!
Zgodziły się nareście: lecz cóż po tej zgodzie,
Któż wskrzesi tyle ofiar, po ziemi, po wodzie:
Tysiączne pod ich stopą poginęły żaby.
Tyle to narobiły pstrokate powaby!

Tak bywało i będzie: zawsze słabsi tracą —
Wielcy wciąż głupstwa robią a mali je płacą.



APOLOG HISZPAŃSKI.

Woda. Ogień. Powietrze. Wstyd.

WODA.

Szukaj mię w gaju hiszpańskiej dziewicy,
Wśród ocienionej jaśminem krynicy,
Szukaj w kaskadzie, co się z skał urwiska
Spionionym słupem w grzmiącą przepaść ciska;
Wreście gdy do rzek lub do morza zajdziesz,
Jeżliś mię stracił, tam mię znowu znajdziesz.

OGIEŃ.

Szukaj mię w lawy ognistym potoku,
W sercu kochanki i w rycerza oku,
Szukaj mię w cichem, domowem ognisku,
Szukaj mię w gwiazdach, szukaj w gromów błysku,
A śmiało memu zaufawszy słowu,
Jeżliś mię stracił, tam mnie znajdziesz znowu.

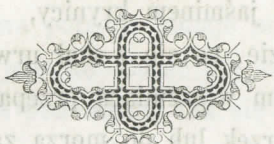
POWIETRZE.

Szukaj mię, szukaj pod tem chłodnem drzewem,
Gdzie liść za każdym szemrze ci powiewem;

Szukaj, gdzie senną wody klóćąc ciszę,
Wiatr po niej łódką nabrzeżną kołysze;
Szukaj wśród burzy co się miota gniewnie,
Jeżeliś mię stracił, tam mię znajdziesz pewnie.

WSTYD.

Mnie zaś próżnobyś szukał, gonił bezskutecznie,
Bo gdy raz się rozłączym — rozłączym się wiecznie.



DZWONEK.

Śmiali się z Pana Jakuba sąsiedzi,
Że jego synek zawsze jak mruk siedzi.
By się więc trochę rozruszał Szymonek,

Ojciec dał mu dzwonek.

Chłopiec gdy zabawkę zoczy,
Ledwie z skóry nie wyskoczy,
Dzwonić i dzwonić zaczyna.

Cieszy się Tatko nagłą zmianą syna,
Lecz gdy ciągle z dzwonkiem w dłoni
Lata i wciąż głośniej dzwoni,
Ojciec się kwasi i krzywi:
Wreście tak się zniecierpliwi,
Że wydarłszy serce z dzwonka,
Wypycha za drzwi Szymonka.

Tak króle prawa dają i znów łamią,
Dają ów dzwonek a dzwonienia bronią;
Cóż się więc dzieje gdy króle tak kłamią?
Ludy na gwałt dzwonią.



DĄBEK.

Młodziuchny dąbek, nowej wiosny dziecie,
Kiedy się ujrzał na świecie
W pośród jodeł rozłożystych,
Dębów, klonów wiekuistych,
Wzniosłych pod same obłoki —
On co zaledwie był na cal wysoki,
Tak się na swą małość skarżył,
Tak je znajdował pięknemi,
Że o tem tylko dni i noce marzył,
Jak się zrównać z niemi.

Póki kto mały, póty jest pokorny.
Tak i nasz dąbek jeszcze nie pozorny,
Widząc dzikich zwierząt tłuszcze
Jak zdeptały całą puszcze,
Z pomiędzy trawek skromny głos podnosił,
I tak je prosił:

Lube zwierzęta, bądźcie mi litośne,
Dozwólcie niechaj i ja też urosnę;
A jak te wzniosłe teraz jodły, buki,
Służą ku waszej ochronie,
Tak i ja kiedyś wasze dzieci, wnuki,
Od gromów burzy zasłonię.

Dziwnym, szczególnym, niepojętym losem,
Trudnym nawet do wierzenia,
Owe tak dzikie i srogie stworzenia,
Pokornym dąbka wzruszyły się głosem.
Zaczął więc wzrastać swobodnie i śmiało,
Wszystko mu się uśmiechało:
Świeciły słońca majowe,
Łagodny wietrzyk go pieścił;
Coraz więc, coraz wyżej wznosił głowę,
Już nawet trochę szeleścił.
Ale gdy się tak po nad trawki wzbijał,
I pono szósty już listek rozwijał,
Ni ztąd, ni zowąd, jał niszczyć powoli.
Jakieś plamki żółte, spore,
Całą pokryły mu korę,
Niewiedzieć z jakiej niedoli.

Codziennie większy smutek go ogarniał,
Wszystkie mu listki zwiędniały,
I tak ciągle gał i marniał,
Aż nakoniec usechł cały.

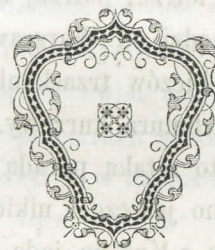
Wicież z kąd taka zmiana niepojęta
W losach naszego biedaczka:
Oto gdy wszystkie upraszał zwierzęta,
Wszystkim wdzięczność zapowiedział,
Zapomniał prosić drobnego robaczka,
Co pod jego listkiem siedział;
Ten go też póty i toczył i trawił,
Póki życia nie pozbawił.
Strzeż się małością przeciwnika zwodzić,
Zginałbyś jak ta roślinka:
Najmniejsza nawet gadzinka,
Może ci na śmierć zaszkodzić!



FRANUŚ I ECHO.

Swawolny Franuś znudziwszy się w szkole,
 Pierwszy raz w życiu wymknął się na pole;
 I mile z swego korzystając czasu,
 Chodził i śpiewał po nad brzegiem lasu.
 Kiedy wtem nagle stanął zadumany,
 Pojąć nie może, co mu się to zdarza:
 Słyszy wyraźnie jakiś głos mu znany,
 Co piosnkę jego powtarza.
Cóż to jest? woła — *cóż to*, głos odpowie.
Czy tu kto skryty? — *skryty*, się odzywa;
 Rośnie więc walka i głośna i żywa,
 Kłóca się słowo po słowie.
 Co tylko Franuś zagada,
 Jużci echo odpowiada;
 Im Franuś krzyknie donośniej,
 Tem i echo głośniej.

Tak przez godzinę śmieszny spór prowadzi,
 Dąsa się, rzuca i sam z sobą wadzi.
 Wiecież co zyskał że się z głupim kłócił:
 I echa nie przegadał i z chrypką powrócił.

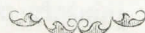


Tak piesz goźnięć śmieszny spór prowadzi
Dają się, tancer i sam z sobą walczy
Wicień co zyskał że się z klupim kłóci
I echa nie przegła typka powóci

TUMAN.

Patrzaj Piotrze, patrzaj Janie,
Któż to pędzi od Warszawy,
Jakież to biczów trzaskanie,
Jakaż to chmura kurzawy.
Wszakże to z taką paradą
Nie jechano jeszcze z nikiem,
Oczywiście z Królem jadą,
Lub przynajmniej z Namiestnikiem.
Zbliżają się owe blaski,
Grzmot pojazdów, biczów trzaski,
Szerzą się kurzu tumany,
Lecą Piotry, lecą Jany.
Cóż widzą? brykę podróżną,
I do tego wewnątrz próżną.

Iluż takich w świecie liczem:
Zdała czemsiś, z bliska niczem.



RZEŹBIARZ.

Wielkiem się dziełem pewien rzeźbiarz wslawił:
Samego Boga wystawił.
Chciał Nim przerazić świat ten poziomy,
I by ten przestach podwoił,
Wzrok Mu nasrożył i w straszne gromy
Obie Mu ręce uzbroidł.
Trwożą się ludzie, zbliżyć nie śmieją,
Drżą i truchleją,
Straszą je zwłaszcza te piorunów pęki,
Z każdój trzaskające ręki.
Kiedy w tem jakaś dziecina się jawi,
I woła, Bóstwem przerażona srogiem:
Nie, Bóg ten nie jest matki mojej Bogiem,
Gdzież jest ta ręka, co nas błogosławi?
Niech wyżej górne sięgają pojęcia,
Mym Bogiem jest Bóg dziecięcia.



LATARNIA MAGICZNA.

Nie! — nikt tego nie wypowie,
 Co się to czasem w małpiej roi głowie!
 Widząc z nich jedna chowana we dworze,
 Jak sam Jegomość o wieczornej porze,
 Dziątek swych gromadkę liczną,
 Latarnią bawił magiczną, —
 Straszna, niezmierną ciekawością zdjeta,
 Siadła na środku komnaty,
 I raz wraz między panięta
 Wścibiała łeb swój kosmaty.
 Lecz że dla małpy nie dość się radować,
 Trzeba zaraz i małpować.
 Wstaje więc rano o świcie,
 Bierze latarnię, cicho się wymyka;
 Gdzieś tam ku gumnu wynosi ją skrycie,
 I stawia wewnątrz kurnika.

Pędzą całe drobiu chmury,
 Lecą gęsi, kaczki, kury,
 Po wszystkich cisną się bokach,
 A małpa w susach i skokach,
 Tak przemawia do swych gości:
 Siądź prześwietna Publiczności;
 Cuda świata ci obwieszczę,
 I do tego gratis jeszcze.
 Patrzcie! Etny szczyt wspaniały,
 Bucha ognie, miota skały,
 Patrzcie! patrzcie! świat się rodzi,
 Pierwszy księżyc, słońce wschodzi,
 Jaka jasność! blask uroczy!
 Patrzą więc, patrzą, wytrzeszczają oczy,
 Patrzą ale nadaremno,
 Wszędzie jakby w rogu ciemno.
 Patrzcie, rzekł kogut, gdyście tak ciekawi —
 Ja tę ciemność nienawidzę;
 Z tych wszystkich cudów, o których nam prawi,
 Jakem kogut nic nie widzę.
 I my nic, mówią całe kaczek stada;
 I ja nic, gaska powiada.
 Co do mnie, rzecze indyk, chociaż się nie spieram....
 Przecież mówiąc sprawiedliwie,

Coś ja tam niby przezieram,
 Ale co? — niewiem prawdziwie.
 Łziesz, nie nie widzisz, kot zawoła bury,
 Co gdzieś tam patrzył się z góry—
 Małpeczka szczerze was chciała
 I pouczyć i zabawić;
 Małhkiej tylko rzeczy zapomniała:
 Świeczkę wewnątrz wstawić.
 O wy panowie, bujni, chmurni, mgliści,
 Na pół poeci, a na pół hegliści,
 Wy co po ciemnych ideałów świecie,
 Biednych tu ludzi wiedziecie,
 Raz się nakoniec zlitujcie nad niemi,
 I przebóg bądźcie jasnymi,
 Bo kto się sensu domacać nie zdoła,
 Nie dziw, że o świeczkę woła.



MUCHA FILOZOF.

Pyszna raz muszka, mądra choć mała,
 Z nosa Hegla uleciała,
 I na tle zwierciadła,
 Dumnie zasiadła.

Zasiadłszy, patrzy.... patrzy chwilę długi
 I z dziwem za szkłem widzi muchę drugą,
 Siedzącą przed nią widocznie.
 Nuż więc myśleć, zgłębiać pocznie,
 Zgłębia — wręście tak zamarzy:
 Któż wie, czy ta druga mucha,
 Nie jest plodem mego ducha,
 O którym Hegel nam gwarzy.
 Nic lepszego nie wyroję,
 Oczywiście *Ja* to moje!

Tworzę więc, tworzę, własną siłą tworzę,
 I ta myśl moja wszystko jak Bóg może.
 Gdy ktoś z klapką chodzący ku niej się odwrócił,
 Uderzył, muchę zabił i na śmiecie rzucił.



ZAJĄC I WYŻEL. *)

Cezar wyżel znakomity
 Nagle upatrzył zająca w kotlinie,
 Który pewny że już zginie,
 Drżał i leżał jak przybity.
 Poddaj się! grzmiącym głosem zawoła —
 Jestem Cezar z zwycięstw znany,
 Najteższe zwalam brytany,
 I nikt mi uciec nie zdoła.
 Struchlał nasz zając na tak straszną groźbę,
 A więc w prośbę:
 Poddam się, poddam Najjaśniejszy Panie,
 Lecz gdy się poddam cóż się ze mną stanie?

*) Jestto przekład a raczej naśladowanie bajki, którą Napoleon I. miał ułożyć w czasie pobytu swego w szkole wojskowej w Brienne. Pan La Bedolière ogłosił ją w swem piśmie: *Fables Populaires*. Autograf jej ma się znajdować u jednego z obywateli w Brienne.

Zjem cię. — Co! zjesz mnie? — Bez żadnej litości,
Zjem cię do kości.

A jeśli drapnę? — Zgonię cię i zduszę! —

Gdy więc czy tak czy owak zawsze umrzeć muszę,

Więc zmykam! wrzaśnie zając — i hula babula,

Zerwie się, leci jak kula.

Srogiby Kato,

Zgromił go za to,

Ale my go nie poganim,

Że śmiał zawierzyć losowi,

I nie dał się zjeść wyżłowi.

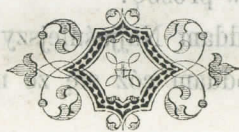
Bo szczęsnym trafem gdy pies gonił za nim,

Strzelec co się niemylnym zawsze strzałem chlubił,

Żle mierzając, chybił zwierza, a Cezara ubił.

Zdaj się na los, gdy los cię tylko zbawić może,

A zresztą — pomóż sobie a Bóg ci pomoże.



12

MAŁPA I PIES.

Małpa swoim dowcipem niezmiernie zajęta,
Chwalila się że wszystkie udaje zwierzęta.
Śluszny zaszczyt, pies rzeczce, dumę twoją lechce,
Szkoda tylko, że ciebie udawać nikt nie chce.



12*

KISZKOWSKI ZEGAREK.

Znapchanym trzosem lecz z pustkami w głowie
Jadąc na wojaż pewien panicz młody,
Chciał się w zegarek zaopatrzyć wprzód —

Kupił go sobie w Kiskowie.*)
Kiskowski Patek! sztuczka to nie lada —

Tak sam do siebie powiada,
Nakręca podług miejskiego ratusza,

I do Rzymu rusza.
Przybył szczęśliwie: a że z mądrej rady,
Polecające z sobą zabrał listy,
Różne go pany, bankiery, artyści,
Zapraszały na obiady.

Panicz nasz mowny, przytem wesół, żwawy,
Wielce bawił Rzym ciekawy;

*) Kisków jest jedną z lichszych mieścin Wielkopolskich. Nie wiem czy ma ratusz i zegarmistrza, lecz nie wątpię, że w wieku tak ogromnego postępu wkrótce celować będzie niemi.

Zwłaszcza kiedy mu o Kiskowie gadał,

I za szczęściu zjadał

Wkrótce atoli sam sobie zaszkodził,

Przez wszystkich został wyśmiany,

Gdy na piątą zapraszany,

Zawsze o trzeciej przychodził.

Inny los całkiem czekał go w Lisbonie;

Wprawdzie go i tam, w miłym, grzecznym tonie

Jakieś możne Portugały

Do swych domów zapraszały,

Cóż, gdy pomimo że się wciąż wpatrywał

W swój zegarek niezawodny,

Zawsze zbyt późno przybywał,

I do domu wracał głodny.

Wściekał się z złości — gdy w tem na ulicy

Napotkał ziomka z swojej okolicy:

I nuż w swe skargi złorzeczne

Na wszystkie miasta stołeczne,

Że prawdziwą jest ohydą,

Jak ich zegary źle idą;

Na obiad trafić nie może.

A ten mu na to: żal mi cię nieboże,

Widać, że nie lubisz postu,

Tymczasem pozwól wyznać ci po prostu:

Glupstwa to twego jest wina,
 U ciebie zawsze Kiszowska godzina,
 Z nią tu nie trafisz do ładu.
 Mając zegarek, miejże i w zwyczaju
 Nakreć go podług kraju,
 W którym masz iść do obiadu.
 W jakie bądź puścim się strony,
 Wszędzie rzeczy postać nowa:
 W Lisbonie podług Lisbony,
 W Kiszkowie podług Kiszkowa.



MOPS I KOŃ.

Dzielnego ktoś rumaka po dziedzińcu wodził,
 A mops śmiał się, że z lichej kobyłki się zrodził.
 Rodu mego, rzekł rumak, nie mam za ohydę,
 Nie pytam zkąd przychodzę, ale dokąd idę.



GÓRA RODZĄCA.

Często gdzie wiele i huku i trzasku,
W skutku rzecz śmieszna i mała.
Pewna góra zlegnąć miała;
Takiego narobiła wrzasku,
Iż każdy myślał na ten huk i wrzawę,
Że najmniej jaką Warszawę,
Paryż, Rzym urodzi,
A tu mysz wychodzi.

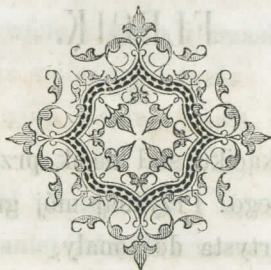
Tak i niejeden autor poematu
Ogromne dzieło zapowiada światu,
Na samym wstępie puszy się i żżyma....
Lecz cóż wręście sklęci?
Tak się i pęcherz nadyma:
Ściśnij, wiatr wyleci.



FLECIK.

W jednym kąciku stał flecik przy basie,
I rzekł do niego: Przyznaj mój grubasie,
Żem artysta doskonały,
Jeniuszek mały!
Ilekoć Stasio weźmie mię do ręki,
Jakież ze mnie ciągnie dźwięki,
Jakie trele, kuranciki,
Polki, mazurki, walczyki,
A wszyscy w lewo i w prawo,
Krzyczą mi brawo!
Głupiś, nasz grubas odmruknie mu z gniewem:
Jesteś jak ja niemem drzewem,
Nie sam z siebie nie wyciśniesz,
I bez Stasia ani piśniesz.

Co się z tem drzewem, to i z głupcem zdarza,
Gdy go gmin ciemny w podziwieniu słucha,
A on jak flecik to tylko powtarza,
Co mu ktoś nadmucha.



SZCZUR I ŻABA.

(z Lafontena.)

Pewien szczur, który nigdy o poście nie słyszał,
A tak tłusty, otyły, że już ledwie dyszał,

Chcąc raz o wiosennej porze

W kwaśnym się nieco rozerwać humorze,

Nad brzegiem bagna, w południowej dobie,

Spacerował sobie.

I dogodził swej potrzebie:

Bardzo był kontent i z wiosny i z siebie.

Kiedy w tem żaba wśród trawy ukryta

Nagle wyskoczy, uprzejmie go wita,

I tak mu powie

W swojej żabiej mowie:

„Odwiedz mię, odwiedz łaskawie.

„Prześlizny balik ci sprawię.”

Przystał natychmiast nasz grubas odęty;

Ona mu przecież dla większej zachęty,

Rozkosz kąpieli, ciekawość podróży,
 Tysiąc osobliwości wewnątrz swej kałuży,
 Zręcznie zaczęła przekładać:
 Co on to kiedyś w wieku podstarzałym,
 Swoim szczurkom małym
 Będzie miał powiadać:
 O pięknościach w cudzych krajach,
 O mieszkańców obyczajach,
 I o rządzie tej swobodnej,
 Rzeczypospolity wodnej.
 Lecz jej rzecz jedna była na przeszkodzie,
 Jakby to szczura utrzymać na wodzie;
 Bał się troszeczkę, bo mało co pływał,
 W taką żeglugę sam rozsądek zdrowy
 Puszcząć mu się zakazywał.
 Nasza więc żabka po rozum do głowy:
 Bierze mu łapkę, bierze nóżkę sobie,
 I tak trawką pęta obie.
 Alić zaledwie puścił się biedaczek,
 Straszliwa żaby odkrywa się zdrada;
 Był to podług niej przedziwny przysmaczek,
 I już go w myśli zajada.
 Ciągnie go na dno — ten krzyczy, zaklina —
 Ta głębszego daje nura;

On jej traktat przypomina —
 Ta drwi z traktatu i szczura.
 Gdy więc już żadnej nadziei nie widzi,
 Bogów przyzywa — ta i z Bogów szydzi.
 Kiedy w tem kania lecąca o głodzie,
 Ujrzawszy bój ten na wodzie,
 Spada na szczura jakby piorun jaki,
 Porywa z żabą i unosi w krzaki.
 Niewiem co mogła w tej straszliwej dobie
 Żaba myśleć sobie;
 Lecz gdybym ja się w takie dostał szpony,
 I jak ona był jedzony,
 Rzeklbym sobie, co stare przysłowie powiada:
 Kto pod kim dolki kopie, często sam w nie wpada.



ZWADA.

Wśród wielkiej siepi, gdzieś tam z po za góry

Zagrzmiał straszny ogrom chmury,

A dwie kumoszki stojące za płotem

Tak gadały o tem:

Jedna z nich: kumo, okropny grad spadnie,

I wszystko zbije szkaradnie,

Stłucze, na proch zetrze.

I jakby niedość było tej posuchy,

Jeszcze głód przyjdzie, po głodzie powietrze,

I będziem padać jak muchy.

A druga na to: co wam się też dzieje

Moja Pani Marcinowa,

Wszakże to chmura deszczowa;

Śliczny deszczyk pola zleje,

Pszeniczka nam się odmłodzi,

I sianu rady nie damy;

A tyle żyta i hreczki się zrodzi,

Że świat ten niemi zapchamy.

Lecz gdy tak w swojej obstawiały zwadzie,

Ta przy deszczu, ta przy gradzie,

I tak się wreście zacięły,

Że się już czubić poczęły;

Zerwał się wichur, z całej zadał siły,

Rozproszył chmurę i znikła bez śladu;

A obie baby strasznie się dziwiły,

Nie mając deszczu ni gradu.

Nie ciesz się szczęściem i nie dręcz przygodą,

Które się może nie zjawia,

Najczęściej obie cię zwioda,

A zawsze na śmiech wystawia.



KOT I BASIA.

Nigdy się kotek swojej nie zbędzie natury.
Zjadały Basi sadło i myszy i szczury;
Wsadziła więc Filusia — i cóż ztąd wypadło?
Zjadł naprzód szczury, myszy, a potem i sadło.



PTASZEK I RYBKKA.

Szczęśliwa rybka! tak ptaszek rzecze:
Któż jej co zrobi, gdy w głąb uciecze;
Bez troski, strachu, w ciągłej swobodzie,
Igra po wodzie!
Mnie takim szczęściem niebo nie obdziela,
Jastrząb goni, człowiek strzela:
Przykroż to, przykro dla biednej ptaszyny,
Zawsze w tej ciągłej żyć wojnie,
I jednej nawet lichej odrobiny
Nie móżd zjeść spokojnie.

Ależ i rybka w tej samej dobi,
Gdzieś tam w swej głębi tak mówi sobie:
Szcześliwy ptaszek! jakże bezpieczny,
Gdy się wzbije w kraj słoneczny,
Nucąc i ziemi i Niebu i wiośnie,
Buja radośnie.

Buja gdy rybka w ciągłej drży obawie,
 Tu ją straszy sieć zdradliwa,
 Tam szczupak goni po stawie:
 I to się życiem nazywa!
 Boże, coś wszystko tak mądrze ułożył,
 Czemuś mię ptaszkiem nie stworzył?

Takim i człowiek żali się głosem,
 W swych skargach nudnych i długich,
 Widzi on szczęście, lecz dziwnym losem,
 Nigdy u siebie, zawsze u drugich.



LIS I STRZELEC.

Pewien strzelec co w kniei cały czas zmarnował,
 Bo co strzelił to zpuściłował,
 W złym humorze, po znużeniu,
 Usiadł sobie w cieniu,
 Strzelbę w rękę trzymał,
 I drzymał.

I psy się także do spoczynku wzięły —
 Nie czuwał strzelec,
 Zasnęły.

Ale lis wisielec
 Nie spał, przyczajony w krzaku;
 Dobrze on oczy otwierał
 Na kawał sera przedziwnego smaku,
 Co z torby strzelca wyzierał.
 Dalej więc teraz póki pora wzywa,
 Dopóki strzelec kiwa się i kiwa.

Uczonym zdrajcy wysuwa się krokiem,
 To stawa, biegnie, to wolniej, to skokiem,

To znowu ciszkciem czai się i skrada,
Aż wręście torby dopada.

Widząc to strzelba swym ładunkiem dzielna,
W groźnym wołała zapale:

Co za kryminał, zuchwałość bezczelna,
Umykaj lisie bo ci w łeb wypalę;
Czyż nie wiesz zdrajco, że moja potęga
Żubrów, tygrysów, nawet lwów dosięga!

Próżno się z swoim piorunem odgraża —
Gdy strzelec zaśnie, któż na strzelbę zważa;
Lis nazbyt mądry, aby się zatrzymał,
Żręcznie korzystał z cichości i czasu,
Wyjadł co było i uciekł do lasu.

Strzelec jak drzymał, tak drzymał.

Tam gdzie na tronach gnuśne śpią mocarze,
Najsroższe prawo grozi lecz nie karze.
Nie cenim królów co się łatwo strudzą,
Stara ta prawda aż nazbyt jest jasną,
Lepiej jednakże gdy troszeczkę zasną,
Niż gdy się nadto przebudzą.



SŁOWIK I RÓŻA.

Dziwił się słowik róży rosnącej nad wodą,
I ona się nad swoją dumiała uroda;
Ale gdy się dumiała, gdy ją słowik głosił,
Wiatr jej wdzięki rozwiewał a strumień unosił.



KANAREK.

Julcia hoża, żwawa, szparka,
 Ślicznego miała kanarka.
 Nadzwyczaj go też kochała,
 A jakże kochać nie miała,
 Gdy jej na paluszkę siadał,
 Dziobał z rączki, z buzi jadał,
 Latał, skakał tak ochoczy,
 I głos dziwnie miał uroczy.
 Głos ten tak ją uszczęśliwiał,
 Że w swej dumie rzekła sobie:
 Wirtuoza z niego zrobię,
 Co będzie świat ten zadziwiał.
 I nuż go uczyć, i długo i wiele,
 Wśród licznych zachęt, pieszczotek,
 Tak że już w drugą niedzielę
 Umiał: *Siadł kotek na płotek.*
 Co dzień i co dzień większy szął zagrzewał
 Pyszniejszą coraz dziewczkę,

A cóż dopiero gdy za nią wyśpiewał
 Śliczną o Wandzie piosieczkę.
 I znów zaledwie dokazała tego,
 Jużci go uczyć zaczęła:
Jeszcze Polska nie zginęła,
I mazurka Chłopickiego.
 Ptaszek nasz wszystkie pojął piosenki,
 Czystemi nucił je dźwięki,
 Tak iż się każdy i dziwił i dumiał,
 Z kąd jeden ptaszek tyle rzeczy umiał.
 Kiedy w tem nagle zaczął bałamucić,
 Niby sam się z sobą klócić,
 Mieszał wszystkie dźwięki, tony,
 Wrzeszczał, krzyczał jak szalony;
 Julci, siebie nie pojmował,
 I na koniec zwaryował.

A babcia na to: tak i z dziećmi bywa,
 Kiedy wczesnie przemądrzeją,
 Albo na wielkie wyrosną dziwa,
 Lub jak ten ptaszek zgłupieją.



OSIEŁ I POETA.

Spotkał się raz z Ursynem osieł rozżalony,
 I rzekł mu: zkadże takie rozsiewasz androny,
 Że ja mam być najgłupszym; — nagródź mi to Panie,
 Każ mi wyrzec w twej bajce jakieś górne zdanie,
 Coś bardzo rozumnego! — A ten mu powiada:
 Już też to mój kochanku czysta buffonada,
 Gdybyś raz się w mych bajkach z zdaniem ozwał wzniosłem,
 Ty byłbyś może mędrce, lecz ja pewno osłem.



WINOGRONO.

Niegdyś młodzieńczej i pogodnej myśli
 Płochę i wesołe dzieci,
 Jakiż wam wyrok ostry sędzia skryśli,
 Jakaż wam gwiazda zaświeci?
 Zawsze się w licznej rodzinie
 Jakaś lichotka wylęgnie,
 W tej to najpierwej dziecinie
 Pocisk mię złości dosięgnie.
 A gdy się na niej zaprawi,
 Tę wyśmieję, tę osławi,
 Najlepszą nawet uszczypnie,
 I tak każdej łatkę przypnie.
 Widziałem wczoraj piękne winogrono,
 Które dla drobnej Maryni niesiono.
 Ledwie je zoczy, już ślinkę polyka,
 Z lśnięciami leci oczyma,
 Co za jagódki! wykrzyka,
 I już w obu rączkach trzyma.

Nasamprzód z wszystkich bierze najpiękniejszą,

Dla Stasia swego przeznacza, —

Po niej dość piękną, lecz już trochę mniejszą,

I tą sama się uracza.

Zrywa i trzecią po chwili nie długiej,

Lecz jakoś znowu mniej piękną od drugiej;

A tak gdy idą do ustek nadobnych

Zawsze mniejsze od poprzednich,

Schodzi z miernych do poślednich,

W końcu do lichych i drobnych.

I tak coraz, coraz spada,

Aż nakoniec wszystkie zjada.

Któż to wie, rzekłem, może i ja mogę

Ten sam los wróżyć dla mojej gromadki;

I czule mile pożegnawszy dziatki,

Dalem im krzyżyk na drogę.



DOPISEK.

Dziwnież to czasy, w których przeciw oczewistym niedorzecznościom walczyć potrzeba. Któżby się spodziewał, że Thiers będzie musiał dowodzić istnienia własności, dowodzić w obec słońca, że słońce istnieje. Ktoby był przewidział w państwie poezyi, że apolog, ta forma przez wszystkie wieki i narody przyjęta, przez nas tylko i to aż w dwiętnastym wieku zdziedziny jej wykluczany będzie? Wiemy w jakiej był cenie u Platona i Sokratesa, wiemy z Goetego jakie miał znaczenie za Lessinga. I nie dziw. Zastanówmy się tylko głębiej że on był lub pierwszym źródłem z którego wszystkie inne wysnuły się formy, lub też streszczeniem wszystkich rodzajów poezyi, w nim bowiem znajdujemy dramatyczność, dyalogowanie, satyrę, opisowość, dydaktyczność, epigramma, w nim niekiedy, jak w Starcu i trzech młodzieńcach Lafontaine, elegię. Bajka wiąże obok tego świat fizyczny z moralnym, idealizuje rzeczywistość, a więc jest poezją.

Zniknął zupełnie prawie z pola poezyi żywioł komiczności. Poniechano satyrę, jak gdyby wszystko pochwały tylko godnem było i jakby takie obrazy jak Fałszywy patryota, Czciiciel złotego cielca, Samolub, Trwoniciel polskiego majątku nie uderzały nas codziennie. Wykluczono

bajkę jak gdyby prawdę tak śmiało można głosić wszędzie, iżby nie potrzebowała słoniącej ją szaty, i jakby wreszcie świat utracił do tego stopnia wszelkie uczucie naiwności że już nawet i rozumieć go nie może. Zkądże nakoniec ta zaciekłość na bajkę? zkąd to gwałtowne ścieśnianie granie poezyi? Czyż niedosć na tem że narody pozbawione bywają swych odwiecznych posiadłości, trzebaż jeszcze i państwo sztuki obdzierać z jego praw i własności, dozwalać teoretykom podobnej zgrozy? Możebym doszedł do źródła i powodu tej zapamiętałości, gdybym powiedział, że niejeden z naszych pisarzy chciałby aby ten tylko rodzaj istniał, w którym sam pracuje a sądzi że jest w nim znakomity.

Ucichły już Bogu dzięki nudne i głośnie zatargi klasycyzmu z romantyzmem. Zaciera się powoli odrębność szkół rozmaitych jakoto: kozackiej, litewskiej, kijowskiej i tym podobnych. Wszystkie zaczynają się zlewać w jedną literaturę polską a naród jeniałnego przeczuwa krytyka, który jak drugi Łokietek naprawi błąd Krzywoustego.

Ale wróćmy do bajki. Mylnem choć powszechnem jest zdanie że bajki tylko są dla dzieci. Bajki dla dzieci są zapewne bardzo użyteczne, lecz trzeba aby były takimi iżby nie przechodząc pojęcia dziecka podnosiły jego władze umysłowe, wprawiały je do myślenia, wzwycajały do trudu odgadywania, a takich jeszcze nie posiadamy. Bajka w ogólności wzięta, wszystkich naprawiać powinna. Jak błędy i wady są rozmaite, tak i bajka. Są do czasu tylko przywiązane, są i do natury ludzkiej. Człowiek jest indywidualny, społeczny, familijny, stanowy, narodowy, polityczny, takimi też są i wady jego, takimi i bajki być powinny. Dał to już do pojęcia Krasicki w wierszu do Dzieci przed bajkami umieszczonym.

Mógłbym na poparcie wartości apologa przytoczyć pokrewne z nim parabole o ziarnkach rozsianych, o znalezionej perle, o zgubionej owieczce, które cały świat przekształciły, uświęciły, lecz że już tylkokrotnie w naszej poezyi mieszano *sacra profanis*, niechęć tak występłą płochością pióra mego kazić. Wolę raczej zwrócić uwagę czytelnika na szczególny pociąg do bajek w ludu polskim. Któżż dziecię nie umie bajki o dwóch czyżykach, którzyż starzec słysząc ją nie westchnie głęboko? Czy to więc z wrodzonej tego ludu skłonności czy też z położenia jego pochodzi, większa część naszych celniejszych wieszczów jako to Krasicki, Trembecki, Naruszewicz, Niemcewicz, Kniaźnin, Karpiński, Mickiewicz nawet, bajki pisali. Któż wie nakoniec czyli ta skłonność naszego ludu i jego poetów nie ztąd wypływa, że gdy nas wszelkiego życia pozbawiono uciekamy się chętnie do tego rodzaju poezyi co wszędzie życie rozsiewa, wywołując je nawet z niemych dzieci natury, i każąc czuć, myśleć, mówić, zwierzętom, drzewom, kwiatom i głazom aby w nich przynajmniej wzbudzić udział jaki.

Wykluczanie to pewnych rodzajów poezyi nie jest zupełnie nowem. Była pora gdzie równie sielanki potępiano jako już z duchem czasu nie zgodne. Za całą na to odpowiedź Brodziński napisał swego Wiesława. Radbym moją pracę choć w części podobny tryumf dla bajki odzyskać.

Autori.



16429

	Stron.		Stron.
53. Kura	102	81. Skapiec	155
54. Zebra	106	82. Woły	157
55. Kot i szczur stary	107	83. Utoniona	158
56. Ropucha	111	84. Dwa byki i żaby	160
57. Pojazd i mucha	112	85. Apolog hiszpański	161
58. Szczur chory	114	86. Dzwonek	163
59. Dmuchaczka i węgiel	115	87. Dąbek	165
60. Żyd i osieł	117	88. Franuś i echo	168
61. Szyna żelaza	119	89. Tuman	170
62. Młody dąb	120	90. Rzeźbiarz	171
63. Surdut	121	91. Latarnia magiczna	172
64. Spekulant	123	92. Mucha filozof	175
65. Wędk	124	93. Zajac i wyżeł	177
66. Świątynia szczęścia	125	94. Malpa i pies	179
67. Osieł, malpa i kret	128	95. Kiszkowski zegarek	180
68. Jeź i chłopcy	131	96. Mops i koń	183
69. Kot i myszka	133	97. Góra rodząca	184
70. Człowiek i rak	136	98. Flecik	185
71. Dwór lwa	137	99. Szczur i zaba	187
72. Dwa zajace	140	100. Zwada	190
73. Kaczka i piskorz	141	101. Kot i Basia	192
74. Zdarzenie z nosem	144	102. Ptaszek i rybka	193
75. Stal i krzemień	146	103. Lis i strzelec	195
76. Kubek i kostki	147	104. Słowik i róża	197
77. Wybór żony	148	105. Kanarek	198
78. Słowik i królewic	150	106. Osieł i poeta	200
79. Szklanka	152	107. Winogrono	201
80. Talar i bankocetel	154		